

*Sara Gran*

# Jeszcze bliżej

Przełożyła z angielskiego

Anna Pajek

Wydawnictwo „Książnica”



Tytuł oryginału

*Come Closer*

Opracowanie graficzne

*Marek J. Piwko*

Copyright © Sara Gran 2003

For the Polish edition

Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2007

ISBN 978-83-250-0090-5

*Dla Warrena i Suzanne Gran.*

*Dziękuję za wszystko.*

W styczniu opracowywałam na zlecenie mego szefa, Leona Fieldsa, nowy projekt. Dotyczył renowacji sklepu z ubraniami, mieszczącego się w pasażu handlowym na przedmieściu. Nic wielkiego. Skończyłam w piątek rano i podrzuciłam mu projekt wraz z ofertą na biurko, załączając radosną notkę - „Daj znać, co o tym sądzisz” - kiedy był w sali konferencyjnej na spotkaniu z nowym klientem.

Później tego ranka Leon otworzył gwałtownie drzwi swego gabinetu.

- Amando! - Zawołał. - Pozwól do mnie.

Poderwałam się z krzesła i szybkim krokiem przemierzyłam biuro, kierując się w stronę wydzielonej ściankami działowymi enklawy. Gdy weszłam, Leon chwycił garść leżących przed nim papierów, podniósł je i wbił we mnie spojrzenie. Jego obwisła twarz pobielała z gniewu.

- Co to, do cholery, jest?

- Nie wiem.

Wyglądało jak moja oferta - ten sam nagłówek i format. Dłonie zaczęły mi drżeć. Nie miałam pojęcia, co chodzi. Podał mi papiery. Spojrzałam na pierwszą liniijkę i przeczytałam: *Leon Fields to pieprzony pedał.*

- Co to jest? - Spytałam.

- Ty mi powiedz - odparł, wciąż wpatrując się we mnie. - Podrzuciłaś mi to na biurko.

Poczułam, że kręci mi się w głowie.

- O czym ty mówisz? Położyłam ci na biurku projekt, nie to... Projekt wraz z ofertą.

Zaczęłam przeszukiwać gorączkowo papiery na biurku, szukając projektu, który tam położyłam.

- Co to ma być, żart?

- Amando - powiedział. - Troje ludzi widziało, jak podchodzisz do drukarki, drukujesz to, a potem przynosisz mi do gabinetu.

Czułam się, jakbym utknęła w koszmarze. Nic nie było już logiczne ani

rozsądne.

- Zaczekaj - powiedziałam. Pognałam z powrotem do swego biurka, wydrukowałam projekt, sprawdziłam go i zaniiosłam do gabinetu Leona. Zdążył się już nieco uspokoić i zasiąść w wielkim, obitym skórą fotelu.

Podalam mu projekt.

- Proszę. Oto co położyłam na twoim biurku dziś rano.

Spojrzał na papiery, a potem na mnie.

- Więc skąd się wzięło t o ? - Zapytał, wskazując wzrokiem rzekomą ofertę.

- Skąd mam wiedzieć? - Odparłam pytaniem na pytanie. - Pozwól mi rzucić jeszcze raz okiem.

Przeczytałam drugą linijkę: *Leon Fields je gównno i bardzo to lubi.*

- Niesmaczne - zauważyłam. - Może ktoś stroi sobie z ciebie żarty. Komuś wydaje się, że to zabawne.

- A może stroi sobie żarty z c i e b i e - odparował. - Ktoś zastąpił tym twój projekt. - Nagle coś mu zaświtało. - Przepraszam, że pomyślałem... - Zażenowany potoczył spojrzeniem po gabinecie. W ciągu trzech lat, jakie dla niego przepracowałam, nie słyszałam, by Leon kogokolwiek przeprosił. Ani razu.

- W porządku - odparłam. - Niby co miałeś pomyśleć?

Popatrzyliśmy sobie w oczy.

- Przejrzę projekt - powiedział - i dam ci znać.

Wyszłam z gabinetu i wróciłam do swego biurka. Nie napisałam rzekomej oferty, lecz chętnie dowiedziałabym się, kto to zrobił. Ponieważ ten ktoś się nie mylił; Leon Fields był pieprzonym pedałem, jadł gównno i zawsze podejrzewałam, że sprawia mu to nie lada frajdę.

Tego wieczoru, akurat gdy przymierzałam się do opowiedzenia Edowi, mojemu mężowi, tej dziwnej historii, usłyszeliśmy stukanie po raz pierwszy. Siedzieliśmy przy stole, kończąc wietnamskie danie na wynos.

Stuk, stuk.

Spojrzeliśmy na siebie.

- Słyszałeś?

- Pewnie.

Znowu: stuk, stuk. Za każdym razem dwa lub cztery stuki, nigdy jeden. Odgłos przeciągał się lekko, przechodząc w drapanie przypominające dźwięk, jaki wydają na drewnianej podłodze zwierzęce pazury.

Ed wstał, a po chwili ja także. Z początku dźwięk zdawał się dobiegać z kuchni. Weszliśmy tam i zaczęliśmy nasłuchiwać, pochylając się, by zajrzeć pod lodówkę i za kuchenkę. Nagle stukanie jakby przeniosło się do łazienki. Pośpieszyliśmy tam i sprawdziliśmy szafkę pod umywalką i prysznic. Niczego nie znaleźliśmy, za to zaczęło nam się wydawać, że odgłos dobiega teraz z sypialni. Przeszukaliśmy zatem sypialnię, potem salon, by wrócić w końcu do kuchni, gdzie wreszcie się poddaliśmy. To pewnie rury, uznaliśmy, coś jest nie tak z kanalizacją lub ogrzewaniem. A może to po prostu mysz biegająca w ścianach. Przypuszczenie wzbudziło w Edzie odrazę, ja byłam jednak pełna uznania dla dzielnej milutkiej myszki, która zdołała wspiąć się na czwarte piętro i przetrwać żywiąc się nielicznymi okruchami, jakie mogła u nas znaleźć. Wskutek zamieszania zapomnieliśmy, czego dotyczyła rozmowa przy stole, nie opowiedziałam więc Edowi o tym, co wydarzyło się tego dnia w pracy.

\*  
\*       \*  
\*

Stukanie nie cichło przez resztę zimy. Nie zdarzało się codziennie, ale co drugą i trzecią noc i trwało kilka minut. Potem, pod koniec miesiąca, wyjechałam na dwudniową konferencję, która odbywała się na Zachodnim Wybrzeżu. Ed zauważył, że podczas mojej nieobecności tajemnicze odgłosy ucichły. Parę tygodni później Ed

wyjechał na północ na ślub dalekiego kuzyna. Nie było go trzy dni i przez ten czas słyszałam stukanie każdej nocy, od wieczora do rana. Przeszukałam mieszkanie ponownie, biegając z pomieszczenia do pomieszczenia. Sprawdziłam rury, krany, włączyłam i wyłączyłam ogrzewanie. Stukot nie ustawał. Zamiotłam starannie podłogi, usuwając okruchy, którymi mógłby pożywić się gryzoń, kupiłam nawet pudełko paskudnych sprężynowych pułapek, na próżno jednak. Włączałam telewizor, zmywarke, godzinami wisiłam na telefonie i rozmawiałam ze starymi hałaśliwymi przyjaciółmi i przez cały czas je słyszałam.

Stuk, stuk.

Powoli nabierałam przekonania, że mysz wcale nie jest taka miłutka.

Dziwne odgłosy nie były w liczącym sobie blisko sto lat budynku niczym niezwykłym. Został zbudowany jako fabryka aspiryny w czasach, gdy przemysł wciąż mieścił się w obrębie miasta. Po tym jak zakłady przeniosły się stopniowo na obrzeża, kolejni deweloperzy próbowali zrobić coś z okolicą pełną opuszczonych fabryk i składów, nic jednak z tego nie wyszło. Teren był zbyt opustoszały i oddalony od centrum, a budynki zbyt trudne do ogrzania, zwłaszcza nocą. Jeśli o mnie chodzi, cieszyłam się, że plany firm budowlanych spaliły na panewce. Nasz budynek wypełniony był tylko w połowie. Podobała mi się panująca tu cisza i spokój.

Gdy zobaczyliśmy poddasze po raz pierwszy, od razu wiedziałam, że to coś dla nas. Dla Eda nie było to wszakże takie oczywiste.

- Pomyśl, jak tu spokojnie! - Przekonywałam. - Żadnych sąsiadów!

Sieć elektryczna i kanalizacja były w porządku, nigdy ich jednak nie wykorzystywano. Jak nic wymagały wymiany.

- Pomyśl o możliwościach! - Wykrzykiwałam podekscytowana. - Moglibyśmy stworzyć wszystko od zera!

Sufit podtrzymywało sześć białych kolumn. Ciepło zapewniała zwieszająca się z niego przemysłowa dmuchawa.

- To miejsce ma charakter! - Zapewniałam. - Osobowość!

W końcu Ed ustąpił i kupiliśmy poddasze za połowę ceny, jaką musielibyśmy zapłacić gdzie indziej. Zaoszczędzone pieniądze wydaliśmy na renowację. Ed dał mi wolną rękę, mogłam więc robić, co chciałam. Byłam architektem, projektantką wnętrz, a teraz także swym własnym wymarzonym klientem. Zaprojektowałam każdy szczegół, od porcelanowych kurków przy kuchennym zlewie i bieli ścian po kominek wzdłuż południowej ściany. Jego zainstalowanie kosztowało fortunę, rezultat wart był jednak zachodu.

To, że okolica aż tak opustoszała, stanowiło z początku pewien problem. Żadnych supermarketów, restauracji, ledwie kilka sklepików spożywczych, gdzie handlowano głównie piwem i papierosami. Najbliższe centrum handlowe położone



było o dziesięć przecznic od nas, a najbliższa dzielnica mieszkaniowa znajdowała się jeszcze dalej, hen za nim. Mimo to wkrótce się przystosowaliśmy. Mieliśmy samochód, który mógł zawieźć nas w dowolne miejsce wieczorami albo w weekendy, a w tygodniu dojeżdżaliśmy zwykle do pracy kolejką. Tuż po wprowadzeniu żywiliśmy pewne obawy - jak się okazało, nieuzasadnione - czy sąsiedztwo nie okaże się aby niebezpieczne, lecz okolica była jednak zbyt opustoszała nawet dla przestępców. Niepokoiły mnie tylko włóczące się po ulicach bezpańskie psy. Trzymały się co prawda z daleka, ale był to kruchy rozejm. Nie miałam za grosz pewności, czy któregoś dnia nie zechcą jednostronnie go zerwać. Kiedy szłam z dworca do domu, co najmniej jeden czał się w bramie albo na rogu ulicy, łypiąc na mnie podejrzliwie spode łba. Wolałabym mieć do czynienia z ulicznym złodziejem, który chciałby wyłącznie moich pieniędzy - tymczasem nie sposób było wyczuć, czego chcą spoglądające na mnie przekrwionymi ślepiami zwierzęta.

Dowiedziałam się tego, kiedy pewnego wieczoru skundlony owczarek niemiecki ruszył za mną ze stacji. Uznałam, że jeśli zacznę biec, sprowokuję go do ataku, szłam więc spokojnie dalej, udając nonszalancję. Owczarek podążał za mną równie spokojnie, także udając nonszalancję. Przy wejściu do budynku - a stanowiły je stalowe drzwi, do których prowadziły dwa szerokie schodki - uznałam, że jestem bezpieczna, zwierzę zostało bowiem na ulicy. Odwróciłam się i włożyłam klucz do zamka, a wtedy pies zaatakował: przeskoczywszy jednym susem oba stopnie, wspiął się na tylne łapy, przednimi przyciskając mnie do ściany, po czym ignorując pełne przerażenia okrzyki, polizał mnie prosto w usta i spróbował uwieść. Gdy w końcu udało mi się przekonać go, że nie jestem zainteresowana, usiadł u moich stóp, dysząc i uśmiechając się szeroko. Przez kilka minut drapałam go potulnie za uszami, a potem przemknęłam ukradkiem do wnętrza.

Pewnie bym o nim zapomniała, gdyby nie to, że następnego dnia znów czekał na mnie na stacji. Wkrótce wspólny spacer do domu stał się rutyną. Reagował na kilka prostych poleceń („siad!”, „zostań!”, „nie!”) i byłam przekonana, iż zaczął życie jako czyjś pupil. Posunęłam się nawet tak daleko, że poszłam do sklepu z artykułami dla zwierząt i kupiłam torbę dietetycznie zbilansowanych psich ciasteczek. Kiedy wracaliśmy noga w nogę ze stacji, próbowałam nauczyć go dalszych komend, takich jak „leżeć!”, „chodź!”, „przestań próbować mnie przelecieć!” (co skróciliśmy wkrótce do „przestań!”), używając jako nagrody przysmaków. Miałam nadzieję, że jeśli trochę go ucywilizuję, uda mi się znaleźć mu dom. Chętnie zabrałabym zwierzaka do nas,

lecz Edward był alergikiem: psy, koty, chomiki, truskawki, angora i pewne rodzaje grzybów były dla niego wręcz niebezpieczne i nie miały prawa znaleźć się w mieszkaniu.

Cieszyłam się, że mam w okolicy przynajmniej jednego przyjaciela. I to właśnie mój nowy kumpel, bezimienny zapchlony kundel, nie Ed, pierwszy zorientował się, że z wolna przestaję być sobą.

\*  
\*       \*

Nie znaczy to, że Eda nie obchodziło, co dzieje się w moim życiu. Nie był tylko w stanie poskładać kawałków układanki tak szybko, jak pies. Ed był moim bohaterem, zbawcą. Człowiekiem, który zaprowadził porządek w moim chaotycznym życiu. Zanim go poznałam, jadałam płatki na obiad i lody na lunch. Dokumenty podatkowe trzymałam w reklamówce w szafie, soboty zaś spędzałam otumaniona kacem, gapiąc się godzinami w telewizor nastawiony na kanał, gdzie wyświetlano stare, czarno-białe filmy. Będąc z Edem spędzałam soboty poza domem, robiąc to, co jak sądziłam, powinnam była robić zawsze: odwiedzając muzea, targi staroci i restauracje. W styczniu to on wypełniał kwestionariusze podatkowe, sprawdzając starannie każdy punkt, a potem przechowywał kopie w prawdziwej szafce na akta. Był mężczyzną, który potrafi dokończyć każdą krzyżówkę, otworzyć każdą butelkę i sięgnąć bez wysiłku na najwyższą półkę w sklepie. Był uosobieniem stałości i równowagi, kimś, na kim mogłam polegać, prawdziwą ostoją. Kimś, kto mnie kocha i nigdy nie opuści. Nie możecie obwiniać tego wyrafinowanego, cywilizowanego człowieka o to, że nie przejawiał instynktu dziczającego psa.

To co uważamy za niemożliwe, zdarza się przez cały czas. Jak wtedy gdy Ed otworzył drzwi, wszedł do mieszkania, a potem położył gdzieś klucze, których nigdy nie udało się odszukać, chociaż musiały przecież tam być. Albo jak rankiem w święto Halloween, gdy otworzyłam szafkę z naczyniami i talerze stojące w schludnym stosie posypały się jeden po drugim wprost na mnie, by odbić się od moich ramion i roztrzaskać na podłodze. Lub kiedy moja przyjaciółka Marlene podniosła słuchawkę telefonu, chcąc zadzwonić do babci, a ktoś był już na linii; jeden z kuzynów właśnie do niej dzwonił, by powiadomić, że babcia zmarła tego ranka. Moglibyśmy poświęcić życie, starając się nadać sens temu co dziwne, niewytłumaczalne, przypadkowe, lecz większość z nas tego nie robi. Ze mną było podobnie.

\*  
\*       \*

Wkrótce po tym jak usłyszeliśmy stukanie, Ed i ja zaczęliśmy się kłócić. Nie przez cały czas, gdyż nie zmieniliśmy się od razu. Z początku były to jedynie drobne utarczki, ja zaś uznałam, że przechodzimy po prostu taką fazę. Nie rozpoznałam tego jako części wzoru, gdyż nie wiedziałam, że istnieje wzór, który powinnam rozpoznać. Nie przypuszczałam, że sytuacja będzie się pogarszać. Gdybym miała wskazać moment, kiedy zaczęła się faza kłótni - która nie okazała się wcale fazą, ale początkiem końca - powiedziałabym, że były nim walentynki.

Postanowiliśmy, że zamiast tłoczyć się w restauracji, spędzimy święto w domu przy uroczystej kolacji. Kończyłam pracę wcześniej, toteż zobowiązałam się przyrządzić jedzenie. Ed, który zwykle wracał dopiero około siódmej, miał przynieść kwiaty i wino. O siódmej kolacja - cielęcina w sosie z marsali i rabe z brokułów - była już gotowa, nakryłam zatem do stołu i wsunęłam do piekarnika kupiony w sklepie czekoladowy suflet. O siódmej piętnaście Ed zadzwonił z biura i powiedział, że będzie musiał zostać w pracy jeszcze godzinę lub dwie. Trzeba było sprawdzić jakieś obliczenia i nie dało się tego odłożyć. Obejrzałam dziennik, a potem kilka sitcomów. Zjadłam torbę precli oglądając serial, którego akcja rozgrywa się w szpitalu. O

jedenastej, gdy zaczął się następny dziennik, Eda nadal nie było.

Dobrze po północy, podczas późnonocnego talk show, wparował jakby nigdy nic - bez kwiatów i wina.

- Cześć, skarbie - rzucił, podchodząc do sofy i pochylając się, by mnie pocałować. Odwróciłam głowę. Jak on śmie, przemknęło mi przez myśl.

- Spóźniłeś się - powiedziałam, myśląc jednocześnie: zawsze się spóźnia. Tego wieczoru stukanie zdawało się rozbrzmiewać szczególnie głośno.

Stuk, stuk.

- Wiem i przepraszam - pokajał się, robiąc minę zbitego psa. - Przeprosiny przyjęte?

Stuk, stuk.

- Nie - odparłam. - Przeprosiny nie zostały, do cholery, przyjęte.

- Och, skarbie, ja...

- Są walentynki! - Wrzasnęłam. - Gdzie, do cholery, byłeś?

Stuk, stuk. Stuk, stuk.

- Dzwoniłem! - Teraz on też krzyczał. Wszedł do sypialni, by przebrać się w niebieską flanelową piżamę i stamtąd do mnie wrzeszczał. - Wiedziałaś, że wrócę później!

- Dzwoniłeś cztery godziny temu!

Stuk, stuk. Stuk, stuk. Stuk, stuk. Ależ byłam wściekła. Nic nie mogło tego załagodzić.

- Przykro mi z powodu kolacji - zawołał, nadal z sypialni. - Ile razy mam przepraszać?!

- Zawsze jest ci przykro! - Krzyknęłam. - Ty i te twoje pieprzone przeprosiny!!

Stuk, stuk, stuk, stuk... - Dźwięk rozbrzmiewał przez chwilę natarczywym crescendo, a potem umilkł i przez resztę nocy już go nie słyszeliśmy.

Ed opuścił sypialnię, więc weszłam tam, zatrzaskując za sobą drzwi. Po chwili leżałam już w łóżku, rozpamiętując każdy zmarnowany wieczór, każdą złamaną obietnicę. Gdy po godzinie przyszedł Ed, udałam, że mocno śpię.

\*  
\*       \*  
\*

Tej nocy miałam dziwny sen, który po obudzeniu doskonale pamiętałam. Czerwony ocean okalał pas ciemnokarmazynowego piasku. W oceanie pluskała się kobieta. Była piękna i miała wielkie ciemne oczy; jedyną skazę na jej urodzie

stanowiły włosy - czarne co prawda i bujne, ale matowe i poskręcane w brudne loczki. Przyglądałam się jej, leżąc na piasku. Wyszła na brzeg, a czerwony płyn ściekał z niej niczym rtęć. Potem leżałyśmy obok siebie na plaży. Kły miała ostre jak zęby jadowe węża. Pomyślałam, że są bardzo ładne.

- Podobasz mi się - powiedziała. Wyciągnęła rękę i nawinęła sobie na palec pasmo moich włosów. Zarumieniłam się i spojrzałam w dół, na czerwony piasek.

- Mogę z tobą zostać? - Spytała. Palcem wskazującym wypisałam na piasku słowo TAK. Tuż obok kobieta napisała swoje imię: NAAMA.

Otoczyła mnie ramionami i objęłyśmy się jak siostry. Bardzo ją kochałam i pragnęłam, byśmy zostały razem na zawsze.

\*  
\*       \*

Byłam pewna, że już gdzieś tę kobietę widziałam. Przez kilka następnych dni to pojawiała się w moim umyśle, to znikwała niczym kilka nut, których nie potrafisz przypisać konkretnej piosence. Znajome były zwłaszcza jej usta. Tak, na pewno je gdzieś widziałam. Dopiero po paru kolejnych dniach skojarzyłam wreszcie twarz z imieniem. Siedzieliśmy z Edem przy kuchennym stole, pijąc poranną kawę, jedząc tosty i rozmawiając o jego przyjaciółach: Aleksie i Sophii. Nie pogodziliśmy się jeszcze po walentynkowej kłótni, lecz w milczącej zgodzie przeszliśmy nad nią do porządku dziennego, jakby się nigdy nie zdarzyła.

Przysłuchiwałam się jednym uchem, jak Ed opowiada o awansie Aleksa, i zastanawiałam się, jaki strój włożyć do pracy, kiedy jej imię nagle do mnie wróciło.

- Pansy! - Zawołałam. - Wiedziałam, że skądś ją znam!

\*  
\*       \*

Pansy była moją wyimaginowaną przyjaciółką. Po raz pierwszy pomyślałam o niej, gdy miałam pięć albo sześć lat. Była zastępczą matką. Wyobrażałam sobie, jak czesze mi włosy, zastawia stół do podwieczorku, otula mnie wieczorem kołdrą. Moja prawdziwa matka zmarła na atak serca, gdy miałam trzy latka, a ojciec zbyt szybko się ożenił, na dodatek z kobietą, która w ogóle nie chciała mieć dzieci, Noreen. Pansy nie była, jak ja, dziewczynką, myślałam o niej jako o dorosłej, choć miała twarz pięknej osiemnastolatki z sąsiedztwa, Tracy Berkowitz. W przeciwieństwie do Tracy była jednak mądra, łagodna i troszczyła się o mnie. Nie czułam się aż tak samotna, by

sądzić, że Pansy naprawdę istnieje. Nie doznałam psychicznego załamania, żadnych ponadnaturalnych głupstw. Byłam absolutnie świadoma, że ja jestem prawdziwa, a Pansy wymyślona.

Przynajmniej do dnia, gdy ona też stała się realna. Wracałam do domu ze szkoły, nie zaprzatając sobie Pansy głowy, gdyż wyobrażenie, które tak zdominowało moją rzeczywistość, gdy miałam sześć lat, teraz, po trzech latach, ograniczało się do kilku minut przed snem, kiedy to całowałyśmy się na dobranoc. Była późna wiosna i wkrótce miały zacząć się wakacje. Słońce mocno świeciło i w powietrzu dało się już wyczuć lato pełne bzyczenia much, cykania świerszczy i szumu przemykających autostradą samochodów. Mijałam właśnie czyste białe domki z łąkami zielonych trawników, jeden podobny kropka w kropkę do drugiego. Szłam wolno, gdyż nie śpieszyło mi się do domu ani w ogóle nigdzie. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć kobiety stojącej na skrzyżowaniu. Wyglądała, jakby na kogoś czekała.

Spojrzałam na nią bez zainteresowania. Gdy się zbliżyłam, odwróciła się i uśmiechnęła. Z początku pomyślałam, że to Tracy Berkowitz. Przypomniałam sobie jednak, że Tracy, nadal niezamężna, uciekła przed kilkoma miesiącami ze swoim chłopakiem wywołując w okolicy skandal, którego echo jeszcze nie ucichło.

Kobieta patrzyła teraz wprost na mnie. Miała gęste czarne włosy i ładny różowy uśmiech. Pamiętam jej skórę, porcelanowo gładką, promieniejącą ciepłem i blaskiem niczym natryskowa fotografia w czasopiśmie.

Była to Pansy.

Serce zatrzepotało mi w piersi niczym wyrwijający się na wolność koliber. Ogarnęła mnie swego rodzaju panika, a myśli tłoczyły się w głowie, wpadając bez ładu i składu jedna na drugą. To nie mogła być ona. A jednak była.

Gdy doszłam do rogu, stanęła przede mną i musiałam się zatrzymać. Pochyliła się, opierając dłonie na udach. Słońce świeciło jej prosto w twarz, lecz nie mrugnęła ani nie odwróciła wzroku.

- Witaj, Amando - powiedziała. Głos miała słodki i czysty niczym dźwięk skrzypiec. Gdy tylko go usłyszałam, strach natychmiast mnie opuścił.

- Widzisz mnie? - Spytała.

Nagle przez skrzyżowanie przemknął z hukiem firebird, trąbiąc donośnie. Zamrugalam odruchowo i odwróciłam się, by na niego popatrzeć. Trwało to ułamek sekundy, lecz kiedy spojrzałam znowu przed siebie, Pansy już tam nie było.

W tym wieku wiedziałam już, że to, co się wydarzyło, było niemożliwe, a tylko

szaleńcy wierzą w coś, co nie jest możliwe. Pogrzebałam więc owo wspomnienie tak głęboko, iż nie wynurzyło się na powierzchnię, dopóki nie pojawił się ten sen.

Nawiasem mówiąc, ojciec i Noreen zmarli, gdy byłam na drugim roku college'u. Utonęli, nurkując z butlami u wybrzeży Jamajki, gdzie zagubili się pod wodą, podziwiając rafę.

\*  
\*        \*

Opowiedziałam Edowi całą historię - o kobiecie, którą widywałam jako dziecko, i o ostatnim śnie.

- No więc gdy byłaś dzieckiem, widziałaś raz kobietę, która wyglądała jak twoja wyimaginowana przyjaciółka, a wczoraj w nocy o niej śniłaś.

Powiedział to swoim charakterystycznym tonem, sceptycznym i nieco protekcyjnym, zupełnie jak ojciec napominający córkę, która wróciła zbyt późno z imprezy. Nie była to jedna z jego najbardziej sympatycznych cech.

- Ale kim była ta kobieta? Skąd znała moje imię?

- Pewnie to ta Stacy.

- Tracy. Ale to nie była Tracy. To była Pansy.

Ed westchnął.

- No dobrze, Pansy - przyznał z rezygnacją.

- Och, mniejsza z tym.

Odłożył gazetę i sięgnął przez stół, by ująć moją dłoń. Pozwoliłam na to, choć niezbyt chętnie.

- Alex i Sophia powiedzieli, że moglibyśmy skorzystać w ostatni weekend września z ich domku na plaży. Chciałabyś pojechać?

- Pewnie.

Alex i Sophia byli starymi przyjaciółmi Eda. Kilka razy w roku dawali nam klucze do swego domku za miastem.

- Obojgu nam trzeba odpoczynku - zauważył Ed.

Tego ranka nie rozmawialiśmy już o Pansy ani o moich snach. Może Ed ma rację, pomyślałam: Pansy nie miała zaostzonych zębów i nigdy nie widziałam jej nagiej. Naama miała większe oczy. Pansy była niższa. Lecz w miarę jak mijał dzień, a ich twarze to wynurzały się z mej świadomości, to znów znikwały, byłam coraz bardziej pewna, że te dwie kobiety stanowią jedno. Naama mogła być Pansy, tyle że o kilka lat starszą. Pansy mogła być Naamą, przebraną i umalowaną na bal kostiumowy.

Poza wszystkim sen sprawił mi przyjemność. Zobaczyć znowu Pansy było jak spotkać starego przyjaciela. Byłam zła na Eda, lecz szybko stłumiłam złość. Koniec końców miał słuszość. Byłam zestresowana i oboje potrzebowaliśmy odpoczynku. Stres stanowił przynajmniej jakieś wyjaśnienie. Co zaś się tyczy dnia, gdy jako dziewięciolatka zobaczyłam Pansy na ulicy, i tu Ed miał z pewnością rację. To musiała być jednak Tracy.

\*  
\*       \*

Możemy poświęcić życie, próbując nadać sens temu, co dziwne, niewytłumaczalne, przypadkowe. Lecz większość z nas tego nie robi. Ja postępowałam podobnie.



Ogólnie rzecz biorąc, byliśmy zadowoleni z życia - z naszego związku, mieszkania, kariery. Ed pracował w dziale finansów wielkiej korporacji zajmującej się damską odzieżą, ja zaś byłam architektem zatrudnionym w małej firmie. Radziliśmy sobie całkiem dobrze i niczego nam nie brakowało. Kochaliśmy się i nie stało się jeszcze jasne, że kłótnie i wzajemne pretensje zagoszczą u nas w domu na dobre.

Poznałam Edwarda, gdy miałam dwadzieścia osiem lat. Cieszyłam się, że go znalazłam. Był mężczyzną, któremu można zaufać, zdrowym grubokościstym blondynem. W jego szafie próżno by szukać szkieletów. Pochodził z licznej rodziny niezbyt gorliwych katolików. Oczywiście i mogące sprawić w przyszłości problemy neurozy (biorące się, jak sądziłam, głównie stąd, iż dorastał jako środkowe dziecko i nie poświęcano mu dość uwagi) ukierunkowały go jako osobę ambitną i zdecydowaną odnieść sukces, co uważałam za pociągające. Nie lubił sportu ani przesiadywania do późna w noc przed telewizorem - dwa wielkie plusy. Miał dobrą pamięć do szczegółów oraz determinację, by robić to, co zapowiedział: jeśli obiecał zadzwonić o trzeciej, dzwonił dokładnie o tej porze. Żadnych niespodzianek. Tak właśnie można byłoby podsumować Eda - żadnych niespodzianek. Kiedy po mniej więcej dwóch latach randkowania powiedział, że chciałby, byśmy zamieszkali razem, a jeśli wszystko dobrze się ułoży, po roku czy dwóch się pobrali, wiedziałam, że mówi poważnie. Mieszkałam wówczas od trzech lat w dwupokojowym apartamencie w śródmieściu. Mieszkanie, choć ładne i pełne uroku, było za małe dla nas dwojga, wprowadziłam się zatem do Eda, który zajmował nowoczesny jednoprzestrzenny apartament w budynku mieszczącym się w pobliżu mojego biura - co prawda nieco zbyt sterylny, z okropną kremową wykładziną i zbyt wieloma gładkimi powierzchniami, lecz zakładaliśmy przecież, że po ślubie kupimy własne lokum.

Po dwóch latach pomieszkiwania razem pobraliśmy się podczas cichej ceremonii w urzędzie. Mogliśmy wybierać pomiędzy tym a hucznym weseliskiem, które wydawało się nieco w złym guście - Edward miał pięcioro rodzeństwa i tuziny kuzynów, ciotek, wujów, bratanic i siostrzeńców, nie wspominając o wspólnych

przyjaciołach, kolegach z pracy i tak dalej. Zatem by nie zapraszać wszystkich, nie zaprosiliśmy nikogo. Poszliśmy rankiem do magistratu, wzięliśmy ślub, a potem z kilkorgiem najbliższych przyjaciół zjedliśmy w ulubionej chińskiej knajpce niewyszukany obiad. Wkrótce zaczęliśmy rozglądać się za domem i znaleźliśmy poddasze.

\*  
\*     \*

Oczywiście wspólne życie nie zawsze układało się doskonale. Wszystkie pary się kłóć i nie byliśmy pod tym względem wyjątkiem. Ed miał kilka cech, niezbyt co prawda istotnych, które doprowadzały mnie do szału. Uwielbiał porządek i obsesyjnie go przestrzegał - skrawek papieru leżący na stoliku do kawy dłużej niż dzień lub dwa wytrącał go z równowagi. Przestrzegał raz nabytych zwyczajów z właściwą podstarzałym angielskim kawalerom skrupulatnością, co było wręcz odpychające - na przykład, jeśli w kuchni zabrakło cienko pokrojonego białego chleba na poranne tosty, potrafił dąsać się godzinami. Nie odstępował też nigdy na krok od z góry ustalonego planu - nie był typem osoby, która zgubiłaby się na wycieczce albo włączyła bez celu po mieście. A już to, że zamiast wypluć przeżutą gumę, ją połykał, z niewiadomego powodu budziło we mnie mdłości. Podobnie jak tosty, zakrętka od pasty do zębów, która natychmiast po użyciu musiała znaleźć się na swoim miejscu, koszule składane tak a nie inaczej i wiele innych codziennych zwyczajów. Po sześciu latach przywykłam jednak do stanu nieustającego poirytowania - co jak podejrzewam, przydarza się większości małżonków - i drobne sprzeczki oraz rozczarowania nie zakłócały płynnego rytmu naszego życia. A kiedy kłótnie stały się częstsze, zwyczaje i rytuały Eda zaś coraz bardziej denerwujące, uznałam, że to typowy dla większości małżeństw stan.

\*  
\*     \*

Z początku była bardzo subtelna. Nie wszystko od razu zaczęło iść źle. Przypuśćmy, że patrzysz na butelkę whisky. Jedna część twego „ja” mówi: O rany, ale bym się napiła. Wtedy druga część wtrąca się i napomina: Cóż, nie powinnaś, musisz jeszcze prowadzić, poza tym whisky jest tuczająca. Nagle trzecia część mówi: Och, po prostu się napij. Ten głos w twojej głowie jest nowy, nie przywykłaś go słyszeć, nie brzmi jednak obco, doskonale udaje twój, no i podoba ci się to, co mówi. No już, nie zastanawiaj się, nie myśl. Będzie fajnie. Po prostu się napij. Teraz.

Nie jesteś w stanie odgadnąć, że trzeci głos nie należy do ciebie. Prawdopodobnie posłuchasz i się napijesz.

\*  
\*       \*

W marcu zaczęłam znów palić, co stało się powodem kolejnych kłótni. Rzuciłam palenie, gdy wprowadziłam się do Eda. Powiedział, że ma uczulenie na dym. Pomyślałam, że po prostu nie wyrobił w sobie upodobania pozwalającego cenić ostry, nieco gryzący zapach, wszystko jedno, płonącego w kominku ognia czy papierosa. Wiedziałam jednak, że chce dobrze, poza tym w głębi duszy trochę się wstydziłam, że dzień po dniu rujnuję sobie zdrowie. Rzuciłam więc nałóg w imię świętego spokoju. Przeprowadzka wydatnie mi w tym pomogła: żadnych popielniczek czy pokrytego laminatem stołu w kuchni, przy którym mogłabym przesiadywać z papierosem i słuchawką w dłoni. Nowe mieszkanie, nowe życie, nowe nawyki. Odbyłam kilka sesji ze specjalistą od akupunktury i na tym się skończyło. Zrezygnowanie z papierosów nie było trudne, już raczej towarzyszył temu smutek, jak wtedy gdy stary przyjaciel wyprowadzi się z miasta.

Zaczęłam znów palić w szary mokry poniedziałek. Jadłam właśnie lunch w kawiarence w pobliżu biura. Rozłożyłam przed sobą gazetę, ale jej nie czytałam. Wolałam podsłuchiwać siedzącą przy sąsiednim stoliku parę. Kobieta była mniej więcej w moim wieku, może trochę młodsza. Miała jasne włosy ściągnięte z tyłu w węzeł. Znacznie od niej starszy mężczyzna wydawał się nie na miejscu, wyglądał raczej jak ktoś, kto jada zwykle w restauracjach, gdzie kelner prowadzi gości do stolika i podaje listę win. Rozmawiali o wycieczce na Karaiby. Gdy wstałam, moje oczy napotkały spojrzenie oczu kobiety. Uśmiechnęła się leciutko, kącikiem ust, i zapaliła papierosa. Dym przesunął się ponad stolikiem i kiedy dotarł do moich nozdrzy, poczułam, że moja wola słabnie. Przyglądałam się, jak kobieta, pogrążona na powrót w rozmowie, zaciąga się głęboko, a potem wypuszcza dym o zapachu palącego się drewna. Była wieloletnią palaczką - papieros tkwił w jej dłoni pewnie, zrosnięty z nią niby szósty palec. Niczym wygłodzona istota przyglądająca się stekowi zapragnęłam tego papierosa. Wyobraziłam sobie, jak łatwo byłoby podejść i powiedzieć: Przepraszam, nie ma pani przypadkiem więcej papierosów? Mogłabym prosić, żeby mnie pani poczęstowała? Mogę podkraść jednego? Proszę mi go dać. Daj mi go, natychmiast. Dawaj.

Wyszłam z kawiarni mając nadzieję, że zmiana otoczenia oderwie moje myśli

od nikotyny. Lecz każda mijająca mnie w nieustającej mżawce osoba zdawała się mieć w dłoni papierosa, zapalała go, paliła lub gasiła. I wszyscy wydawali się tacy szczęśliwi, zdrowi, tak zadowoleni z tego, że palą. Jak to możliwe, pytałam siebie w myśli, iż przez cały czas uważałam, że palenie to coś brudnego i toksycznego? Spójrzcie na tych ludzi - wyglądają kwitnąco! Papierosowe motto nie chciało mnie opuścić. Szczupła kobieta w czarnym prochowcu zaciągała się głęboko długim waverly - Wybór Palacza. Zadbany i ewidentnie będący w dobrej formie mężczyzna w trzyczęściowym garniturze palił papierosa z teksańskiego, ciętego wzdłuż tytoniu - Dymek w Dobrym Guście. Próbowałam oddychać tak, jak nauczono mnie podczas akupunktury, lecz każdy oddech przynosił świeżą woń palącego się tytoniu. Ruszyłam ku budynkowi o kamiennych ścianach, w którym mieściło się moje biuro, mając nadzieję, że zaznam wreszcie ulgi. Nic z tego. Sytuacja jeszcze się pogorszyła. Gdziekolwiek spojrzałam, ktoś właśnie palił. Papierosy sterczały im z ust, wskazując różne kierunki. Kensington - Łagodny Papieros. Fairfax - Odświeżający Smak. Embassy - Radość Palenia. Lowes - Więcej Przyjemności z Palenia. Dotarłam już niemal do biura. Wiedziałam, że gdy się w nim znajdę, świeże, pozbawione woni tytoniu powietrze sprawi, że znowu poczuję się normalnie - musiałam tylko przeskoczyć ostatni płatek. W wejściu do budynku stała drobna kobieta o bladej cerze, z długimi ciemnymi włosami, ubrana w obcisłą czarną suknię. Paliła midwood medium, mój ulubiony gatunek. Satysfakcjonujący Dymek.

Stałam przed nią. Tak łatwo byłoby poprosić - ale nie, nie zrobię tego. Otworzyłam usta, by powiedzieć: „Przepraszam, chciałabym przejść”. Lecz kiedy wprawiałam w ruch wargi i język, odkryłam, że nie mam nad nimi władzy. I choć wydawało mi się, że ułożyłam je tak, by powiedzieć: „Przepraszam”, z moich ust dobyło się: „Czy mogłaby pani poczęstować mnie papierosem?”

- Jasne - odparła z uśmiechem. Sięgnęła do torebki, wyjęła lekko zgniecioną paczkę i pudełko zapalek, po czym mi je podsunęła.

I tak zaczęłam znów palić. Próbowałam jakoś to sobie wytłumaczyć: poprosiłam o papierosa, więc widać miałam ochotę zapalić. Co za brak silnej woli. Podświadome pragnienie zwyciężyło wyższe „ja”. Krążyłam dookoła tematu przez dobry tydzień, nim wreszcie pogodziłam się faktem, że znowu palę i będę musiała z tym żyć lub przetrwać kolejny długi i bolesny okres wychodzenia z nałogu. Cóż, Edward też będzie musiał nauczyć się z tym żyć.

Nie od razu zorientował się, że palę. Kiedy pewnego dnia znalazł w mojej

torebce paczkę papierosów, wydawał się do głębi zawiedziony. Powiedział, że martwi się o moje zdrowie. Kiedy to nie poskutkowało, odwołał się do swej alergii, która - dobrze o tym wiedziałam - nie wymagała wcale aż takiej troski, jak starał się wszystkim wmówić. Pozostałam głucha na argumenty. Cieszyłam się, że znów palę. Czułam się w ten sposób bardziej sobą. Pomyślałam, że nie przestanę palić do końca życia. Edward zareagował rozpoczynając nową kampanię nie pozbawioną odrobiny okrucieństwa. Twierdził, że brzydko pachnę, żółkną mi zęby, poza tym palenie jest wstrętne i świadczy o złym guście. Żadna z tych cech mi nie przeszkadzała, zauważyłam także, iż nie przeszkadzają one większości mężczyzn, z którymi się stykałam. Ed błagał, krzyczał, wreszcie się poddał.

Czułam się cudownie. Jakby stary przyjaciel wrócił znowu do miasta. Trochę jak wtedy gdy znów, po wszystkich tych latach, zobaczyłam Pansy.

Było zatem stukanie, klótnie, powrót do papierosów i dziwaczne sny, lecz nigdy bym ich nie połączyła, gdyby nie pewna pomyłka, a przynajmniej coś, co uważałam wówczas za pomyłkę. Zamówiłam w niedużej wysyłkowej księgarni spoza stanu pewną książkę - „Domy - wczoraj i dziś” - w nadziei, że zainspiruje mnie w związku z opracowywanym projektem. Pewnego deszczowego dnia wróciłam do domu i znalazłam pod drzwiami paczkę. Ucieszyło mnie to, lecz kiedy weszłam na górę i otwarłam pudełko, zobaczyłam, że przysłano nie tę książkę co trzeba. Ta, którą dostałam, miała tytuł „Demony - wczoraj i dziś”. Poczułam się trochę rozczarowana, nie było jednak powodu drzeć szat. Położyłam książkę na stoliku do kawy, zapomniałam o niej i poszłam przygotować kolację. Kiedy się z tym uporałam, usiadłam na sofie. Ed znowu się spóźnił, z nudów wzięłam więc do rąk omyłkowo przysłany tom.

Na pierwszej stronie znajdował się krótki test:

*Czy zostałeś opętany przez demona?*

*1. Słyszę w mieszkaniu dziwne hałasy, zwłaszcza nocą, a członkowie rodziny mówią, że słyszą je tylko wtedy, gdy jestem w domu.*

*2. Podjąłem działania i rozrywki, które zdają się do mnie nie pasować, i wykonuję czynności, których wykonywać nie zamierzałem, nie rozumiejąc nawet swoich motywów.*

*3. Stałem się drażliwy i niecierpliwy w stosunkach z bliskimi i przyjaciółmi.*

*4. Rozumiem języki, których się nigdy nie uczyłem, i wiem o sprawach, o których nie mógłbym dowiedzieć się zwykłymi sposobami.*

*5. Miewam luki w pamięci nie spowodowane lekami, alkoholem lub wcześniejszymi kłopotami ze zdrowiem.*

*6. Prześladowają mnie dziwaczne nowe myśli lub głosy słyszalne tylko dla mnie.*

*7. Miewam sny lub wizje istot, które mogą być demonami.*

*8. Medium, duchowny lub inna osoba o rozbudzonej wrażliwości na świat*

*duchowy powiedziała mi, że jestem opętany.*

*9. Odczuwam pokusę, by ranić albo zabijać zwierzęta i innych ludzi.*

*10. Zraniłem albo zabiłem zwierzę lub człowieka.*

Na następnej stronie zamieszczono analizę odpowiedzi. Zaznaczyłam cztery z dziesięciu punktów: odgłosy w mieszkaniu, powrót do palenia, kłótnie z Edem oraz dziwaczne sny.

*0-3: Prawdopodobnie nie jesteś opętany. Idź do lekarza lub specjalisty od zdrowia psychicznego, by to ocenił.*

*3-6: Możesz być nawiedzany albo znajdować się we wczesnym stadium opętania. Nie panikuj. Poszukaj duchowej porady i wsparcia.*

*6-10: Jesteś opętany. Natychmiast skontaktuj się z duchowym doradcą. Możesz stanowić zagrożenie dla siebie i bliskich.*

*Opętanie zwykle zaczyna się od stadium zwanego „natręctwem” - narzucaniem się demona ofierze. W tym stadium ofiara nadal jest w ciele sama, jednakże działanie wszystkich pięciu zmysłów, jak również umysłu i pamięci może podlegać manipulacji i zakłóceniom spowodowanym przez Obecność. Ofiara może odczuwać pożądanie, zazdrość, zachłanność lub pociąg do grzechu w stopniu silniejszym niż dotąd. Obecność demona może przejawiać się w formie stukania, pukania albo drapania podążającego w ślad za ofiarą; także sny tej osoby nawiedzane są przez Istotę, która próbuje ją opętać.*

Odłożyłam książkę i wzięłam do rąk grubą biografię Franka Lloyd Wrighta, do której zabierałam się już od miesięcy.

Zdażyłam przeczytać ledwie kilka stron, kiedy spokojne jak myszka, ale rozbrzmiewające w moich uszach głośno niczym wystrzał pojawiło się stukanie.

Stuk, stuk.

Ten sam niepokojący odgłos. Tyle że dzisiaj zdecydowanie wyraźniejszy. Kiedy się wsłuchałam, byłam pewna, że to nie rury. Stukanie było też o wiele za głośne jak na mysz.

Stuk, stuk. Stuk, stuk.

Poczułam się nieswojo. Wstałam i obeszałam mieszkanie. Nic. Zupełnie jak przedtem: odgłos rozlegał się w pobliżu, lecz nigdy tam, gdzie akurat patrzyłam. Jeśli byłam w kuchni, zdawał się dobiegać z sypialni. Jeśli poszłam do sypialni, dobiegał z

łazienki. Poddalam się i wróciłam na sofę. Wzięłam leżące na stoliku kolorowe czasopismo i zaczęłam je przeglądać. Minispódniczki wracały znowu do mody.

Stuk, stuk.

Czułam się coraz bardziej nieswojo. Stukanie było dziś wyjątkowo głośne. Na zewnątrz deszcz siekł szyby, spróbowałam więc wmówić sobie, że stukanie to nic innego jak odgłos rozbijających się na szkle kropel. Albo jednak coś w rurach. Albo ciekący kran.

Kap, kap. Kap, kap.

Teraz kiedy siedziałam sama w cichym mieszkaniu, uświadomiłam sobie, że to co słyszę, to nie stukot, lecz raczej stąpanie, tupot lekkich stóp rozbrzmiewający w stałym rytmie i obiegający mieszkanie. Brzmiał jak kroki, stukanie łap psa lub kota na drewnianej podłodze, odgłos pazurów drapiących drewno.

Tup, tup. Tup, tup.

Oczywiście, to nie mogły być kroki. Ponad nami nikt nie mieszkał, a na poddaszu nie było nikogo poza mną. Odgłos stał się głośniejszy, bliższy. Nie, to nie kroki, nie ma mowy. Choć właśnie tak to brzmiało, było to przecież absolutnie niemożliwe. Nie powinnam pozwalać, by taka myśl choćby przemknęła mi przez głowę. Wbiłam wzrok w czasopismo. Do noszenia z minispódniczką zalecano pantofle bez pięt.

Tup, tup, tup, tup.

Odgłos, który nie był krokami, przybliżył się i rozbrzmiewał teraz dookoła sofy. Przestałam udawać, że czytam. Tupanie rozlegało się dokładnie naprzeciw mnie, jakby ktoś lub coś przemierzało tam i z powrotem podłogę przed sofą.

Tup, tup, tup, tup...

Nagle stukanie ucichło, zatrzymało się tuż przede mną. Nie mogłam się poruszyć. Z pewnością oddychałam zbyt szybko. A potem usłyszałam po lewej jakiś odgłos i głośno krzyknęłam.

Ed. Po prostu Ed wracający do domu.

\*  
\*      \*

Tej nocy zobaczyłam ją znów we śnie. Siedziałam na sofie przysłuchując się stukaniu, jak wcześniej tego wieczoru. Spojrzałam na podłogę i zobaczyłam parę stóp. Małych, doskonale białych stóp materializujących się w powietrzu.

Podniosłam wzrok. Ponad sobą zobaczyłam błyszczące czarne oko. Stała



naprzeciw mnie, a jednak wyglądało to tak, jakbym patrzyła na nią przez dziurkę od klucza. Nie byłam w stanie zobaczyć naraz całej postaci. Widziałam zadarty impertynencko biały nos, a potem różowe wargi osłaniające spiczaste białe zęby. Kiedy patrzyłam w dół na małą białą stopę, traciłam z widoku wszystko powyżej kolana. Jeśli patrzyłam na rękę, widziałam wyłącznie dłoń z długimi niepolerowanymi paznokciami.

- Nie opieraj się, Amando - powiedziała różowymi wargami.

Pokój pociemniał. Spadałam, wyślizgiwałam się z ciała, aby pogrążyć się w ciepłej wilgotnej czerni. Zabrała mnie na karmazynową plażę. Leżałyśmy na piasku przyglądając się, jak ryby wyskakują ponad powierzchnię rubinowego morza. Tutaj mogłam widzieć ją wyraźnie, w całości.

- Wybrałam właśnie ciebie - powiedziała.

- I nigdy mnie nie opuścisz? - Spytałam.

- Nigdy - odparła. - Nic nie zdoła mnie przepędzić.

Otoczyła mnie ramionami i przycisnęła mocno do siebie. Nasze żebra i kości biodrowe napierały na siebie, gdy przyciskała mnie tak mocno, że nie mogłam już oddychać, dusiłam się. Mój kręgosłup napotkał jej, by w końcu stopić się w jedno.

Nie pofatygowałam się, aby przeczytać książkę do końca, nie wtedy. Nie zwróciłam jej jednak, jak zamierzałam, lecz odłożyłam na półkę, wmawiając sobie, że i tak jest już za późno, by ta, którą pierwotnie zamówiłam, mogła być mi przydatna - termin oddania projektu przypadła za kilka dni i potrzebna pozycja nie dotarłaby do mnie na czas. Poza tym lektura książki o demonach mogła okazać się kiedyś niezłą rozrywką.

\*  
\*       \*

Zauważyłam też inną zabawną rzecz. Po tej nocy, gdy śniłam ponownie o karmazynowej plaży, stukanie więcej się nie powtórzyło. Nie słyszałam go i Ed także nie.

\*  
\*       \*

W sobotę rano postanowiliśmy wybrać się do centrum handlowego, żeby uporać się z paroma sprawunkami. Edowi skończyły się pigułki na alergię. Nie potrzebował ich codziennie, wolał jednak, by znajdowały się pod ręką na wypadek, gdyby natknął się gdzieś na bezpieczeństwa kota albo zdradziecką truskawkę. Ja potrzebowałam odżywki do włosów, a chyba także nowej szczoteczki do zębów. Przemysłiwaliśmy nad kupnem nowej zmywarki, gdyż stara zostawiała na filiżankach po kawie ciemny osad. No i za nic nie odmówilibyśmy sobie wyzerki w tybetańskiej restauracji, gdzie przy każdej okazji chętnie jadaliliśmy lunch. W samochodzie zaczęliśmy sprzeczać się co do tego, którą drogerię wybrać. Jak wszystkie pary zdążyliśmy już stworzyć własny język, pełen skrótów i odwołań do wydarzeń z przeszłości.

- Może do Włocha?
- Za drogo. Może lepiej do Szalonej Damy?
- Nie mają tam mojej odżywki. Co powiesz na sklep ze skarpetami?

- Nie znoszę go. Już prędeż ten duży.
- Który duży?
- Ten nowy, w pobliżu kiepskiej francuskiej restauracji.
- Jakiej znów kiepskiej francuskiej restauracji?
- Tej, do której poszliśmy z Marlene, i gdzie podali jej zupę z...
- Och! Tak, tak, wiem. Koło Tybetańczyka.
- Właśnie.
- Zgoda.
- Dobrze, jedźmy tam.

\*  
\*       \*  
\*

W olbrzymiej drogerii Ed ustawił się w kolejce, by zrealizować receptę, tymczasem ja udałam się na poszukiwanie odżywki i odpowiedniej szczoteczki. Znalazszy, czego szukałam, a nie mając czym zapełnić pozostałego czasu, postanowiłam przyjrzeć się bliżej kosmetykom. Gdy Ed do mnie dołączył, oglądałam właśnie ładną czerwoną szminkę. Miał już swoje pigułki, zapłaciliśmy więc w kasie i ruszyliśmy do restauracji.

Kiedy wychodziliśmy, rozległ się przenikliwy pisk.

- Proszę się cofnąć.

Nastoletni ochroniarz polecił nam przejść ponownie przez bramkę. Spojrzeliśmy na siebie i przewracając wymownie oczami, wróciliśmy do sklepu. Strażnik skinął głową. Minęliśmy po raz drugi bramkę.

Piii-piii-piii.

Ochroniarz skinął dłonią, zawracając nas do sklepu. Posłuchaliśmy.

- Proszę otworzyć torbę.

Znowu przewróciliśmy oczami. Ed pokazał reklamówkę, w której znajdowały się pigułki, szczoteczka do zębów oraz odżywka i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu rachunku. Sprawdziwszy go, strażnik skinął z aprobatą głową i wskazał na moją torebkę. Otwarłam ją, wzdychając demonstracyjnie. Zerknął, wsunął do środka rękę i zaczął przerzucać zawartość: portfel, klucze, skrawki papieru, portmonetkę. Po chwili cofnął dłoń, trzymając między palcem wskazującym a kciukiem szminkę w czarnej oprawce. Była opakowana w przejrzysty plastik z naklejonym dookoła szerokim paskiem wywołującym sygnał alarmu.

- Ma pani rachunek? - Spytał.

Wpatrywałam się w niego zaszokowana.

- To nie należy do mnie.

- Poproszę, by poszła pani ze mną.

Położył mi dłoń na ramieniu, próbując skierować z powrotem w głąb sklepu.

Odsunęłam się gwałtownie.

- Łapy przy sobie!

Ochroniarz popatrzył na mnie przeciągle.

- Powie mi pani, jak ta szminka znalazła się w pani torebce?

- Nie mam pojęcia - odparłam zgodnie z prawdą.

- Musiała jakoś wpaść. Oglądałam ją, lecz odłożyłam. Poważnie, nie mam pojęcia, co się stało. Proszę spojrzeć - otwierałam portfel, pokazując plik dwudziestek.

- Myśli pan, że kradłabym szminkę za cztery dolce?

- Znalazłem ją w pani torebce.

- Proszę posłuchać - wtrącił Ed. - Zapłacimy za szminkę. Ile to będzie?

- Ale ja jej nie chcę! - Zaprotestowałam.

Ed zignorował mnie i nadal spoglądał na ochroniarza, jakby chciał powiedzieć: daj spokój, chłopie, załatwmy to jak mężczyzna z mężczyzną.

- Zapłacę za nią.

Po chwili pełnej napięcia ciszy ochroniarz skinął głową. Odprowadził nas do kasy, gdzie Ed zapłacił za szminkę, i mogliśmy wreszcie wyjść.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, spojrzeliśmy po sobie i potrząsając ze zdumieniem głowami, ruszyliśmy ku restauracji. Zapaliłam, a Ed choć raz nie zmarszczył z dezaprobatą brwi.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziałam. I była to prawda. - Nie ukradłam niczego od siódmej klasy.

Gdy miałam dwanaście lat i macocha powiedziała mi, że jestem zbyt młoda, by się malować, wybrałam się podprowadzić kosmetyki ze sklepu. Skończyło się tak, że przyłapano mnie ze skradzioną mascarą w dłoni.

- Może sam ją podłożył - powiedział Ed. - Wyczuł, że będziesz wolą uniknąć zamieszania.

- Po co miałby to robić?

Przez chwilę milczeliśmy, rozważając ewentualne motywy ochroniarza.

Wreszcie Ed wzruszył ramionami.

- Szminka musiała wpaść do torebki, tak jak powiedziałaś.

- Taaa. Pewnie wtedy, gdy odkładałam ją na półkę.

- Pewnie tak.

- Tak. Właśnie tak musiało być.

- Jasne. Tak to się odbyło.

Ed wybuchnął śmiechem, a ja mu zawtórowałam. O mało nie zostałam aresztowana w drogerii, i to z powodu szminki za cztery dolary, której wcale nie chciałam! Później opowiedzieliśmy tę historię współpracownikom i przyjaciołom, a nawet, przez telefon, matce Eda. To było takie zabawne. Histerycznie zabawne. A jeszcze zabawniejsze okazało się to, że koniec końców byłam zadowolona, iż Ed zapłacił za szminkę; miała odcień głębokiej ceglastej czerwieni, jakiego nigdy bym dla siebie nie wybrała, zupełnie niepodobny do stonowanego różowawego brązu, jakiego zazwyczaj używałam, lecz mimo to przez resztę lata i jesień malowałam się nią niemal codziennie, a gdy się zużyła - co nastąpiło mniej więcej w połowie listopada - wróciłam do tego samego sklepu i ukradłam następną.

Kilka dni później wracając z pracy, mijalam jak zwykle obskurny bar położony pomiędzy moim biurem a stacją. Przechodziłam tamtędy setki razy, nie poświęcając lokalowi ani chwili uwagi, aż tu nagle zapragnęłam się napić. Jeden drink, korciło mnie, tylko jeden. Od lat nie zdarzyło mi się wejść samej do baru.... Niezdecydowana stałam przed drzwiami. W środku było dość brudno. Jeden szybki, pomyślałam i weszłam.

Godzinę później nadal tam byłam. Siedziałam przy barze, popijając trzecią tequilę i rozmawiając z mężczyzną, którego imię zapomniałam natychmiast po tym, jak mi się przedstawił. Był mniej więcej w moim wieku, z krótkimi rozwichrzonymi włosami i pociągającą, pokrytą siecią delikatnych zmarszczek twarzą. Jego ramiona zdobiły tatuaże: japońska złota rybka z wytrzeszczonymi oczami i syrena o słodkiej buzi, oddzielone od siebie falami. Słowem, był to mężczyzna z rodzaju tych, jacy podobali mi się, gdy miałam dwadzieścia parę lat - przed tym, zanim poznałam Eda.

- Nalać pani jeszcze? - Zapytał barman.

Skinęłam głową. Siedzący obok mnie mężczyzna uśmiechnął się. Miał uśmiech, jaki zdarza się widzieć tylko raz w życiu. Barman podał kolejne drinki.

Rozejrzałam się po sali. Znajdowali się tu głównie mężczyźni, w większości, jak mój towarzysz, wytatuowani. W rogu rozkładał, a może składał instrumenty jakiś zespół.

- Potrafisz pić - zauważył mężczyzna.

- Rzeczywiście - odparłam, nie czując się ani trochę pijana. Cieszyłam się, że siedzę w barze i dobrze się bawię.

\*  
\*       \*  
\*

Wróciłam późno. Ed był, jak należało się spodziewać, na równi zły i zmartwiony. Nie pofatygowałam się, by przeprosić albo przynajmniej wiarygodnie skłamać.

- Pracowałam, skarbie.

Nadal siedział z chmurną miną na sofie, ubrany tylko w bokserki i podkoszulek.  
- Martwiłem się. Mogłaś zadzwonić.

Zignorowałam go i ruszyłam do sypialni, by się rozebrać. Założywszy czerwone kimono, przedelfilowałam przed Edem i weszłam do łazienki, żeby przygotować sobie kąpiel.

Niech się pomartwi, powiedziałam do siebie. Niech zobaczy, jak to jest: siedzieć samotnie, wpatrując się w zegar i czekając, aż współmałżonek wróci do domu. Zanurzyłam się w gorącej wodzie, wlawszy do wanny pół butelki konwaliowego płynu do kąpieli. Dostałam go od Eda na urodziny i oszczędzałam na specjalne okazje. Czułam, jak napięte mięśnie kręgosłupa i szyi odprężają się w ciepłej pachnącej wodzie. Wiedziałam, że kiedy wyjdę z łazienki, na pewno się pokłócimy. Ed zapyta, jaki mam problem, ja odpowiem, że żaden, a on, że niewątpliwie zachowuję się tak, jakbym jakiś miała. Potem ja powiem, że prawdopodobnie problem polega na tym, iż on sądzi, że jeden domownik może przychodzić i wychodzić, kiedy chce, a drugi musi tłumaczyć się z każdej minuty. Wtedy on zapyta, gdzie, u diabła, byłam. Odpowiem, że jak już powiedziałam, w pracy. Niech zadzwoni i sprawdzi, proszę bardzo. Ed spojrzy na telefon stojący beczynnym na małym biurku obok regału, a potem znów na mnie. Mniejsza z tym, powie. Doskonale, ja na to. Doskonale, powtórzy. Pójdziemy do łóżka, zachowując lodowate milczenie i atmosfera nie ociepli się aż do następnego ranka, a może nawet wieczoru.

\*  
\*       \*

Dwa tygodnie później. Kolejny wieczór w domu. Kolejny posiłek na wynos. Ed i ja jakoś doszliśmy do porozumienia po ostatniej sprzeczce, lecz miejsce uczucia zajęła chłodna uprzejmość. Po kolacji zasiedliśmy razem na sofie i każde pograżyło się we własnym świecie. W telewizji nadawano film dokumentalny o drugiej wojnie. Zbliżało się lato i na poddaszu było tak gorąco, że Ed, zwykle ubrany nieskazitelnie nawet w domu, zostawił w szufladzie komody bawełnianą piżamę i miał na sobie jedynie świeże bokserki w biało-niebieskie pasy i biały podkoszulek. Ja siedziałam w cienkim staniku i innej parze jego bokserek. Edward przerzucał od niechcenia czasopismo, a ja książkę na temat średniowiecznej sztuki meblarskiej.

Zapaliłam papierosa. Edward przewrócił w milczeniu oczami. Umówiliśmy się, że ograniczę palenie w mieszkaniu do minimum ze względu na tę jego tragiczną alergię. Wzruszyłam ramionami. Paliłam i przeglądałam książkę, jednym uchem

przysłuchując się komentarzowi z telewizora. Papieros trzymałam jak zwykle pomiędzy palcem wskazującym a serdecznym prawej dłoni.

A gdybym tak przypaliła nim Edwarda? Pomyślałam.

Wszyscy miewamy takie myśli. A gdybym tak spaliła męża? Zepchnęła go ze skały? Albo skoczyła z dachu? Myśl pojawiła się w mojej głowie nagle i równie szybko znikła. Uniosłam papieros, by po raz ostatni się zaciągnąć. Potem, tak mi się przynajmniej wydawało, opuściłam rękę, żeby zgasić go w niewielkiej białej miseczce na sos custard, której używałam jako popielniczki. Miałam ich aż sześć, bardzo ładnych, francuskich. Dostaliśmy je w prezencie ślubnym, nie pamiętam, od kogo. Wiem jednak, że ani przedtem, ani potem nie zrobiłam sosu custard. W zamierzeniu moja ręka przeniosła się nad stół, opadła i strząsnęła popiół. Następnie moje palce z paznokciami pociągniętymi brązowym lakierem znalazły się przy wargach. Papieros, wypalony do filtra, spoczywał między nimi. Zaciągnęłam się po raz ostatni i opuściłam dłoń przekonana, że powędruje ku popielniczce.

Tak się wszakże nie stało. Ręka, jakby wiedziona własną wolą, skierowała się w prawo i przycisnęła płonący papieros do nogi Edwarda, mniej więcej dwa centymetry nad lewym kolaniem.

Ed wrzasnął. Ja wrzasnęłam. Pobiegłam do kuchni po lód. Ed nadal wrzeszczał. Zeskoczył z kanapy, klnąc na czym świat stoi.

- Cholera! Kurwa mać! Po jaką cholere to zrobiłaś? Co się, u diabła, z tobą dzieje?

Nie byłam w stanie się odezwać. Edward usiadł, nie przestając przeklinać. Usiadłam obok i przyłożyłam mu do oparzonego miejsca paczkę zamrożonego groszku. Krzyk przeszedł w mamrotanie, a potem zapadła cisza. Zamknął oczy i opadł na oparcie sofy.

- Co się stało? - Zapytał po chwili. Nie był już wściekły, ale po prostu zaszokowany.

- Nie wiem - odparłam. - Nie zrobiłam tego specjalnie.

- Oczywiście - powiedział. - Wiem o tym.

- Nie wiem, co się stało. Ręka po prostu przestała mnie słuchać. Nie zamierzałam tego zrobić. Jak się czujesz?

- Okropnie - odparł. - Piecze jak diabli.

- Tak mi przykro.

- Niepotrzebnie.



Wyciągnął rękę i zmierzwił mi włosy na czubku głowy.

- To był wypadek.

- Kocham cię - powiedziałam.

- A ja ciebie.

- Nie wiem, co się stało. Było tak, jakby ręka sama opadła.

- Może to zapalenie ścięgna? Żona Juliana miała coś takiego i nie mogła nawet unieść ramienia. Cały czas opadało bezwładnie.

- Chyba nie - odparłam. - Z moim ramieniem wszystko w porządku.

- Więc może to skurcz.

Wiedziałam, że nie był to skurcz ani zapalenie ścięgna. Moje ramię nie opadło bezwładnie. Poruszyło się samoistnie. W sposób kontrolowany przebyło drogę od popielniczki ku nodze Edwarda.

Edward nie powiedział nic więcej, ja także nie. Nie było nic do powiedzenia.

\*  
\*      \*

W dzień po incydencie z papierosem zdjęłam z półki książkę o opętaniu i rozwiązałam po raz drugi test. Oczywiście nie brałam go poważnie. Oczywiście, że nie wierzyłam, iż coś tak absurdalnego jak demon czy diabeł może wpływać na moje życie.

### *Czy zostałeś opętany przez demona?*

*1. Słyszę w mieszkaniu dziwne hałasy, zwłaszcza nocą, a członkowie rodziny mówią, że słyszą je tylko wtedy, gdy jestem w domu.*

*2. Podjąłem działania i rozrywki, które zdają się do mnie nie pasować, i wykonuję czynności, których wykonywać nie zamierzałem, nie rozumiejąc nawet swoich motywów.*

*3. Stałem się drażliwy i niecierpliw w stosunkach z bliskimi i przyjaciółmi.*

*4. Rozumiem języki, których się nigdy nie uczyłem, i wiem o sprawach, o których nie mógłbym dowiedzieć się zwykłymi sposobami.*

*5. Miewam luki w pamięci nie spowodowane lekami, alkoholem lub wcześniejszymi kłopotami ze zdrowiem.*

*6. Prześladowają mnie dziwaczne nowe myśli lub głosy słyszalne tylko dla mnie.*

*7. Miewam sny lub wizje istot, które mogą być demonami.*

*8. Medium, duchowny lub inna osoba o rozbudzonej wrażliwości na świat*

*duchowy powiedziała mi, że jestem opętany.*

*9. Odczuwam pokusę, by ranić albo zabijać zwierzęta i innych ludzi.*

*10. Zraniłem albo zabiłem zwierzę lub człowieka.*

Tym razem zaznaczyłam pięć punktów.

*0-3: Prawdopodobnie nie jesteś opętany. Idź do lekarza lub specjalisty od zdrowia psychicznego, by to ocenił.*

*3-6: Możesz być nawiedzany albo znajdować się we wczesnym stadium opętania. Nie panikuj. Poszukaj duchowej porady i wsparcia.*

*6-10: Jesteś opętany. Natychmiast skontaktuj się z duchowym doradcą. Możesz stanowić zagrożenie dla siebie i bliskich.*

Czytałam dalej:

*Inne oznaki opętania to zmiany w wyglądzie i osobowości, czasami tak subtelne, że nawet bliscy ofiary nie są w stanie powiedzieć, na czym polega różnica. Mówiąc ogólnie, należy spodziewać się wzmożonej agresywności. Mimo to aż do późnego stadium opętania ofiara jest w stanie normalnie funkcjonować... Prawie zawsze pojawiają się też, i to nagle, zdolności parapsychiczne. W wypadku wątpliwości, czy ma się do czynienia z opętaniem czy nie, właśnie one stanowią pierwszy wyraźny znak. Inną powszechnie spotykaną oznaką opętania jest nie dająca się zaspokoić potrzeba, aby być pożądanym przez osobników przeciwnej płci.*

\*  
\*       \*

Gdy wychodziłam następnego popołudnia od fryzjera, natknęłam się na znajomą. Bernadette Schwartz pracowała w firmie Eda. Gdy była młodsza, zarabiała na życie jako modelka i nadal świetnie wyglądała: wysoka i uderzająco atrakcyjna, z długimi, pięknymi kasztanowymi włosami. Słabo ją znałam, gdyż widywałyśmy się jedynie podczas bożonarodzeniowych przyjęć w firmie Eda, mimo to zatrzymała się, by chwilę porozmawiać.

- Co jest? - Spytała, przyglądając mi się uważnie wielkimi brązowymi oczami, brzydkimi teraz i oskarżycielskimi.

- Co jest z czym?

- Z tobą. Zrobiłaś coś?

- Co mianowicie?

- Lifting skóry wokół oczu lub coś innego. A może chodzi o zęby. Wyglądasz jakoś inaczej.

- Hmm.

Spojrzałam na siebie w lustrze, przed którym stałyśmy. Za nami znajdowało się drugie. Jego tafla odbijała się w pierwszym i poczułam się jak w wesołym miasteczku, wpatrzona w niekończący się ciąg lustrzanych odbić, z których wszystkie przedstawiały moją coraz bardziej pomniejszoną postać. Rzeczywiście wyglądałam inaczej. Jakbym miała za sobą dobrze przespaną noc, a właściwie cały rok dobrze przespanych nocy. Skórę miałam świetlistą, oczy błyszczące. Twarz mi się wypełniła, a płytkie zmarszczki trzydziestoczterolatki zniknęły, pozostawiając skórę jedwabście gładką.

- Już wiem - powiedziała Bernadette - jesteś w ciąży!

Potałam oczy i potrząsnęłam głową, a potem zerknęłam znów w lustro. Spojrzała z niego moja prawdziwa, nieco zmizerowana twarz. Bernadette zmarszczyła brwi.

- Nowa fryzura? - Zaryzykowała już mniej pewna swego.

- Tylko strzyżenie - odparłam. - Pewnie to sprawa pogody. Wilgoć dobrze wpływa na cerę.

\*  
\*        \*

Kiedy wysiadłam tego wieczoru na stacji, owczarek niemiecki już mnie wypatrywał siedząc spokojnie, jak go nauczyłam. Nie wolno mu było wstać ani dać mi całusa (jedyne niestosowny akt, na jaki mu pozwalałam), dopóki nie dostał pierwszego ciasteczka. Podeszłam do rogu, gdzie siedział, czekając. Zwykle witał mnie energicznym merdaniem i szerokim zaślinionym uśmiechem. Teraz był osowiały, jakbym w ogóle się nie pokazała. Spoglądał gdzieś obok, a potem popatrzył wprost przeze mnie. Wyjęłam ciasteczko w kształcie kości i mu podałam. Powąchał smakołyk i spojrzał na mnie wielkimi załzawionymi oczami, ale nawet go nie tknął. Napiął grzbiet i barki i warknął, obnażając żółte, pokryte kamieniem zęby. Rzuciłam ciastko i pobiegłam do domu.

Kiedy przyszedł Ed, opowiedziałam mu, co się stało.

- Cóż - powiedział - mówiłem ci, żebyś nie zadawała się z przybłędami.  
Zdaniem Edwarda nie wszystko co żywe zasługuje na miłość.

Nie przejęłam się zbytnio incydem z papierosem. Ani tym, co wyczytałam w książce. Ed ułatwił mi sprawę, nie rozpamiętując oparzenia. Cóż, złapał mnie skurcz, omdlało mi ramię lub stało się coś jeszcze innego. Trwało lato, zalewając świat jaskrawym słonecznym blaskiem, w takich warunkach trudno było myśleć o demonach. I o bólu.

Lecz dwa tygodnie później, w domu Fitzgeraldów, znowu przytrafił mi się drobny „skurcz”.

Postanowiłam zostać architektem, gdy miałam dwadzieścia lat. Dwa lata wcześniej przeprowadziłam się do miasta, by studiować w college'u. Jako główny przedmiot obrałam sztukę. Byłam zakochana - w mojej szkole, mieście, śniegu. Zjechałam tu z przedmieść Południa, gdzie każda gwiazda była na niebie wyraźnie widoczna, a słupek termometru nie opadał poniżej dwudziestu stopni. Pierwsze osiemnaście lat swego życia spędziłam nieustająco się nudząc, potem, gdy miałam dwadzieścia lat, ojciec i Noreen zmarli, zostawiając mnie bez grosza. Wszystko, co było i powinno być moje, poszło na futra Noreen i jej zabiegi odmładzające. Przeszłam przez istny labirynt ubiegania się o pomoc finansową i w ramach tego procesu zatrudniono mnie w biurze Wydziału Architektury. Nie trzeba było wiele czasu, bym zauważyła, że architekci ubierają się zdecydowanie lepiej niż profesorowie sztuki. Prowadzą też lepsze samochody i częściej miewają współmałżonków, a nawet dzieci. Zmieniłam zatem specjalizację i zaczęłam studiować architekturę. Po dyplomie pracowałam przez rok dla jednego z moich wykładowców, później przenieśli mnie do dużej firmy, gdzie przez kilka lat nie udało mi się zobaczyć na oczy trojga z czterech jej właścicieli, a następnie do Fields&Carmines, gdzie pracuję od trzech lat.

Jak dotąd dom Fitzgeraldów był moim największym projektem. Wiązałam z nim duże nadzieje. Gdyby wszystko poszło dobrze, miałabym szansę otrzymać nagrodę Stowarzyszenia Architektów i może rozkładówkę w czasopiśmie „Design Monthly”, o rekomendacjach ze strony Fitzgeraldów i ich bogatych przyjaciół nie wspominając. Gdyby wszystko poszło dobrze, za kilka lat mogłabym pomyśleć o

otwarciu własnej firmy.

Podczas pracy nad domem Fitzgeraldów nieustannie myślałam o tym, co powiedział o rzeźbieniu Michał Anioł: jego zdaniem należało odrzucić z bloku kamienia wszystko, co nie było Dawidem. Fitzgeraldowie, para sympatycznych milionerów w moim wieku, kupili starą wiktoriańską rezydencję w popadającej w ruinę części miasta. Nawet posiadając nieograniczone środki nie byli w stanie znaleźć domu o powierzchni, jakiej potrzebowali, nigdzie indziej. Olbrzymie domiszcze zostało kiedyś podzielone na trzy osobne apartamenty, potem zaś na dwanaście dziupli do wynajęcia. Można by strawić całe godziny wyobrażając sobie, kto w nich mieszkał, lecz dajmy teraz temu spokój. Moje zadanie polegało na tym, by zmienić budynek z pokojami do wynajęcia na powrót w rezydencję. Pracowałam z zespołem projektantów wnętrz, dekoratorów, hydraulików, elektryków, malarzy, specjalistów od klimatyzacji, cieśli oraz stolarzy. Razem mieliśmy usunąć wszelkie podziały, dodatki i ozdoby, które nie były domem Fitzgeraldów.

W środę wstąpiłam na budowę w drodze do biura, aby przekonać się, jak postępują prace. Było dopiero wpół do dziewiątej, a pracownicy nie pojawiali się wcześniej niż o dziewiątej lub nawet dziesiątej, nikogo więc nie zastałam. W domu panował spokój, chłód i mrok. Tylko nielicznym promieniom słońca udawało się przedostać przez zamknięte okiennice. Pachniało kurzem i zaprawą. Przespacerowałam się po parterze. Połowa ścianek działowych była już wyburzona. Nie zaczęto jednak uprzątać gruzu i całe jego stosy piętrzyły się wokół pustych ram drzwiowych i stalowych podpór. W końcu ściany zostaną usunięte i parter będzie wyglądał jak przystosowane do zamieszkania poddasze - kuchnia, jadalnia, salon, wszystko w jednym wnętrzu, tyle że ogromnym.

Weszłam po schodach, unikając pokrytych kurzem mahoniowych poręczy. Nie dało się ukryć, że na razie dom to brudna kupa gruzu. Moje kroki odbijały się echem od niekończących się metrów dopiero co położonych suchych tynków. Na górze miały znaleźć się, jak kiedyś, cztery sypialnie, co stanowiłoby przejaw miłej równowagi pomiędzy otwartością a prywatnością. Przydadzą się, gdy przyjdą na świat dzieci. Tymczasem każda sypialnia była przedzielona ścianką na dwie osobne klitki. Tu i ówdzie wały się jeszcze pamiątki po byłych lokatorach: w kącie jo-jo z zerwaną gumką, znoszony czarny but w holu czy poplamiony brązowy krawat wiszący na haku w ścianie.

Wszystko wydawało się w porządku. Wróciłam na parter i już miałam wyjść,

gdy zobaczyłam coś, czego nie zauważyłam przedtem. Czerwoną szklaną gałkę na drzwiach salonu.

Mogłabym przysiąc, że wcześniej jej tam nie było. Prawdę mówiąc mogłabym przysiąc, że w ogóle nigdy takiej nie widziałam. U Fitzgeraldów poniewierało się kilka ładnych gałek z przezroczystego ciętego szkła i nawet jedna fioletowa. W sumie nic specjalnego. Lecz gładka gałka z rubinowego szkła, bez jednej rysy czy odłupanego fragmentu - byłam pewna, że niczego takiego dotąd nie widziałam. W tym smutnym zakurzonej białym domu znalazłam oto doskonałą kulę czerwieni.

Chcę ją mieć, pomyślałam. Wyjęłam z torebki niewielki zestaw podręcznych narzędzi i wykręciłam przytrzymujące gałkę śrubki. Nie zabrało mi to więcej jak dwie minuty. Wetknęłam gałkę do torebki i wyszłam.

Nie poświęciłam temu ani jednej myśli do chwili, gdy pół godziny później znalazłam się na dworcu. Czekając na pociąg uświadomiłam sobie ze zgrozą, że właśnie ukradłam coś z domu klientów. A jeśli zostanę przyłapana? Jeśli Fitzgeraldowie zauważą brak gałki? Wtedy moja kariera legnie w gruzach z powodu gałki do drzwi. Zastanawiałam się, czyby jej nie wyrzucić, w głębi ducha wiedząc, że powinnam odnieść, co zabrałam.

Lecz nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. Chciałam mieć tę gałkę, więc ją zatrzymałam.

W domu zainstalowałam moją piękną, nową rubinową gałkę u drzwi łazienki. Ed przyszedł do domu późno, kiedy leżałam już w łóżku, i nie zauważył gałki aż do następnego ranka. Powiedziałam, że wyszukałam ją w salonie wystawowym. Staliśmy przed drzwiami łazienki, oboje jeszcze w bieliźnie. Ed potarł czoło.

- Sam nie wiem - powiedział. - Myślisz, że pasuje?
- Tak - odparłam. - Pasuje doskonale.
- Jest czerwona - zauważył, marszcząc brwi.
- Wiem. Właśnie to mi się w niej podoba.
- I jaskrawa. Nie uważasz, że jest trochę zbyt jaskrawa?
- Gałka zostaje - stwierdziłam. Ed spojrział na mnie z pytaniem w oczach. - Zostaje - powtórzyłam i poszłam do sypialni się ubrać.

\*  
\*      \*

Kiedy szłam tego ranka do biura, olbrzymia czarna limuzyna wychynęła zza rogu i przejeżdżając zbyt blisko chodnika, opryskała mnie wodą ze ścieku. Niewiele

myśląc podeszłam do wyposażonego w przyciemniane szyby samochodu i korzystając z tego, że utknął w korku, zastukałam w zimne szkło. Zero reakcji. Zastukałam ponownie, tym razem tak mocno, że aż zabrzęczało. Kierowca w garniturze i czapce z plastikowym otokiem opuścił szybę. Miał różową cerę i miedziane włosy ściągnięte w cienki kucyk. Wizerunku dopełniał rudy wąsik. Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

- Taaa?

- Powinien pan przeprosić - powiedziałam.

- Co, do cholery? - Prychnął wąsik.

- Powinien pan - powtórzyłam - przeprosić. Natychmiast.

Wsunęłam głowę przez okno, wdychając zapach skóry i czystego samochodu. Kierowca miał dwa wyjścia: przeprosić albo mnie wypchnąć. Skrzywił się i zaklął pod nosem.

- Przepraszam - prychnął sarkastycznie. - Jest mi doprawdy cholernie przykro. A teraz proszę odsunąć się od samochodu.

Wysunęłam głowę i się cofnęłam, a on zamknął czym prędzej okno. Kiedy szyba podjeżdżała w górę, zobaczyłam swoje zniekształcone odbicie. Włosy miałam jakby dłuższe i zdecydowanie ciemniejsze, skórę gładszą, a wargi czerwone niczym rubinowa gałka u drzwi.

\*  
\*       \*

Leżałyśmy na karmazynowej plaży nad czerwonym jak krew morzem. Jej imię nadal widniało na piasku.

- Jesteś moja - powiedziała, liżąc mój policzek językiem sztywnym i wilgotnym jak u węża.

Spojrzałam jej w oczy.

- Nigdy nie odejdziesz?

- Nigdy - objęła mnie ciaśniej ramionami. - Nigdy przenigdy.

- Dlaczego ja? - Zapytałam.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego uśmiechnęła się i polizała grzbiet mego nosa.

Kiedy się obudziłam, nadal czułam na twarzy wilgotny dotyk jej języka.

\*  
\*       \*

Następnego ranka Ed i ja znów się pokłóciliśmy. Ostatnio nie byłam już tak



porządna, co doprowadzało go do szału.

- Proszę, Amando - powiedział, spoglądając wymownie na pozostawiony na podłodze stos ubrań z poprzedniego dnia. Stał pośrodku łazienki w skarpetkach, bieliźnie i jasnoniebieskiej koszuli z oksfordzkiego płótna, spoglądając z naganą na zmiętoszone ciuchy.

Zwykle pozbierałabym je i włożyła do kosza, gdzie było w końcu ich miejsce. Tego ranka nie miałam jednak ochoty ich odkładać. Bez szczególnego powodu. Po prostu nie chciałam tego robić.

- Tak? - Powiedziałam do Edwarda. Nadal leżałam w łóżku, a może raczej na powrót, gdyż obudziwszy się wstałam, zrobiłam sobie kawę, zabrałam ją wraz z popielniczką i papierosami do łóżka i położyłam się ponownie. Najwyżej spóźnię się nieco do pracy, pomyślałam. Wielkie rzeczy.

- Ubrania, Amando!

Teraz był już na dobre zirytowany. Stał, przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę, rozdarty pomiędzy chęcią natychmiastowego załatwienia dokuczliwej sprawy a obawą, iż starannie zaplanowany rozkład jego zajęć może przesunąć się o minutę czy dwie.

- Co z nimi?

Ed zrobił dziwną minę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie z niepokojem. Wyglądał pociesznie, toteż z wielkim trudem powstrzymałam chichot.

- Och, mniejsza z tym!! - Powiedział, zbierając ubrania. Nie chcąc, by do planu jego dnia wkradło się opóźnienie, porzucił na razie temat. Byłam jednak pewna, że poruszy go, gdy tylko wróci wieczorem do domu.

Fragmenty układanki z wolna zaczynały do siebie pasować. Pewnego słonecznego letniego poranka siedziałam przy stole konferencyjnym, przeglądając po raz dziesiąty plany domku Lindy Marcello. Linda od dawna korzystała z usług Fields&Carmin. Tym razem mieliśmy odnowić jej letni domek, położony na północ od miasta. Linda była trudną klientką: chciała mieć światło w cieniu, chciała, by utrzymany w brązach pokój sprawiał wrażenie „lekkiego”, a taras wisiał w powietrzu bez widocznych punktów podparcia. Rozmawiając z nią śniłam na jawie o tym, jak dobrze byłoby znaleźć się poza biurem, w parku albo na plaży. Moja dłoń wskazująca garderobę musnęła dłoń Lindy. W tym krótkim momencie, gdy skóra dotykała skóry, zobaczyłam Lindę w jej domku, w brązowym pokoju, który nie był ani trochę „lekki”, odpoczywającą na obitej brązowym aksamitem sofie. Widziałam to tak wyraźnie, jakby przed moimi oczami rozgrywał się film. Siedziała beczynn timer, czekając, aż jej mąż wróci do domu. Powinien od dawna tam być. Atmosfera wszechogarniającej nudy obezwładniała. Linda rozejrzała się po pokoju. Co też jej strzeliło do głowy z tym brązem? W takim pomieszczeniu można dostać kręćka. Chętnie by wyszła, ale mąż nie byłby zadowolony, gdyby akurat wrócił i jej nie zastał. Potem obraz się zatrzymał i zobaczyłam nowy film: Linda była teraz dziesięć lat młodsza. Znajdowała się w przytulnym, choć zatłoczonym mieszkanku o białych ścianach. Były tam również dwie inne młode kobiety - śmiały się i piły wino. Nie mogłam rozróżnić słów, lecz był to ten rodzaj budującej więź i pełnej żartobliwego utyskiwania rozmowy, jaką prowadzą młode kobiety, plotkując o mężczyznach. Wszystkie chciały bogato wyjść za mąż. Lindzie się udało.

Cały epizod zajął nie więcej niż sekundę. Linda w niczym się nie zorientowała. A ja wiedziałam teraz, co jej powiedzieć.

- Czytała pani dzisiejsze gazety? - Spytałam. Linda potrząsnęła głową. - Sprawa Marshy Merkon wreszcie się zakończyła. Wie pani, tej modelki, to znaczy byłej modelki, która poślubiła szefa Bluechip Securities.

- Naprawdę? - Linda odwróciła się i spojrzała na mnie szczerze zainteresowana.

Był to, zdaje się, pierwszy raz, kiedy w ogóle na mnie spojrzała. Sprawa, o której wspomniałam - jeden z tych głośnych rozwodów, kiedy w grę wchodzi duże pieniądze i sensacyjnie brzmiące oskarżenia - zapełniała strony popołudniówek przez całe nie obfitujące w wydarzenia lato. Wiedziałam, że Linda z pewnością śledzi jej przebieg.

- Taa. Dostała dwadzieścia milionów. A przecież nie stuknęła jej nawet pięćdziesiątka. Ma dwadzieścia milionów i życie przed sobą. Wie pani, co powiedziała?

- Co takiego?

- Że rozwiodłaby się z nim i tak, nawet gdyby miała nie dostać ani grosza. I że teraz czuje się młodsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Hmm - powiedziała tylko. Uśmiechała się jednak, a oczy błyszczały jej niemal tak jak przed laty w nędznym mieszkanku, podczas rozmowy z przyjaciółkami.

- Wie pani, kilka razy wpadałyśmy na siebie podczas przyjęć. Nie jest wcale taka, jak opisują gazety. To bardzo miła kobieta. Prawdę mówiąc, chcieliśmy nawet umówić się któregoś dnia na lunch.

- Cóż, teraz jest odpowiednia chwila, żeby zadzwonić i się przypomnieć - powiedziałam. - Mogłaby pani ją zaprosić i wspólnie uczciłybyście rozwód.

- Raczej to ona mogłaby zaprosić mnie, zważywszy, ile dostała - odparła Linda ze śmiechem.

Następnego ranka płacąc za steki, dotknęłam ręki rzeźnika i zobaczyłam czysty, pełen ciepła dom, gdzie mieszkał z żoną i dwoma synkami. Kilka dni później przekonałam się, że mężczyzna, który sprzedaje mi kawę, wręcz mnie nie znosi. Nienawidził nas wszystkich za to, że się nie przepracowujemy, siedząc w wygodnych biurach, podczas gdy on musi wstawać o trzeciej nad ranem, by sprzedawać nam cholerną kawę, bez której nie możemy się obejść.

Zdolność pozazmysłowego postrzegania to pojawiała się, to znikwała przez całe lato i nie byłam pewna, co z nią zrobić. Najczęściej ignorowałam pojawiające się przed oczami obrazy cudzego życia, odrzucając je jako zrodzone z fantazji - do czego zawsze miałam skłonność.

Nie powiedziałam o nich Edowi. Był zagorzałym agnostykiem i uważał, że wszystko co ma posmak nadnaturalności czy metapsychiki, to zwykły nonsens.

Owczarek nadal mnie ignorował. Przesiadywał wieczorami przed dworcem, czekając, lecz nie poznawał mnie, gdy podchodziłam. Ed znał psa i utrzymywał, że kiedy wraca do domu kilka godzin po mnie, ten nadal smętnie kogoś wypatruje. Nabrał nawyku klepania zwierzęcia po łbie i co ciekawe, pies witał Eda przyjaźnie, jak starego znajomego. Nie poznawał tylko mnie.

- Gdzie się podziewałaś? - Zapytał James Cronin. Poniedziałkowe popołudnie u Fieldsa&Carmine'a. James zajmował biurko tuż obok mojego, lecz jakoś nie potrafiliśmy się dogadać. Dla Jamesa wszystko było współzawodnictwem; obecnie rywalizacja dotyczyła tego, które z nas przeznaczą na lunch mniej czasu.

- Byłam w barze - odparłam. - Jadłam hamburgera.

- Przez dwie godziny? - Zapytał, unosząc brwi.

Przewróciłam wymownie oczami.

- Jakie dwie godziny? Wyszłam o pierwszej, a teraz jest - spojrzałam na zegarek. Trzecia. To przecież niemożliwe. Pochyliłam się, by spojrzeć na zegar Jamesa. On także wskazywał trzecią.

Cofnęłam się pamięcią do pierwszej i zaczęłam przypominać sobie, co robiłam. Poszłam do Pete'a na hamburgera, przespacerowałam się do straganu z gazetami na rogu i wróciłam do pracy. Wracając zerknęłam na zegarek i była za pięć. Razem godzina. Skąd zatem trzecia? Niemożliwe. A jednak musiała to być prawda. James wpatrywał się we mnie dużymi szarymi oczami. Czułam się tak, jakby grunt pod moimi stopami nie był już stabilny, ale przechylał się raz w jedną stronę, raz w drugą. Mój umysł zastopował, a potem wszedł w tryb pogotowia. Pozbądź się tego natręta, doradził.

- Och, taa, rzeczywiście, wyszłam o pierwszej - powiedziałam od niechcenia, jakbym chwilę wcześniej nie przemawiała zupełnie innym tonem. - Miałam coś do załatwienia.

Odwróciłam się i usiadłam przy swoim biurku. Przebiegłam myślami minioną godzinę - nie, dwie godziny. Najpierw poszłam na hamburgera. Obsługiwała mnie ta sama co zwykle kelnerka, brunetka o zmęczonej twarzy. Jedząc przeglądałam gazetę, którą zostawiłam później na stoliku. Potem ruszyłam w dół ulicy, do znajdującego się na rogu straganu z gazetami. Przejrzałam kilka kobiecych pism, a potem wzięłam „Architectural Record”, gdzie na kolumnie zatytułowanej „Nowe i godne polecenia” zamieszczono notatkę na temat mojej firmy. Oczywiście mieliśmy w biurze

egzemplarz pisma, ale chciałam pokazać notatkę Edowi. Sprawdziłam zegarek: była za dwadzieścia druga. Mnóstwo czasu. Oddałam się więc grzesznej przyjemności przeglądania magazynów dla kobiet i rozkoszowałam się nią przez kilka minut, gdy nagle usłyszałam:

- Hej, nie może pani ich tak czytać. Proszę kupić albo odłożyć. Żadnego czytania na miejscu.

Odwróciłam się i zobaczyłam właściciela sklepu.

- Przecież kupuję. Wybrałam to, a teraz zastanawiam się nad tymi.

Byłam zła, lecz tylko przez chwilę. Zabawny człowiek. Skąd ktoś może wiedzieć, co kupić, jeśli wpierw tego nie obejrzy? Sytuacja wydała mi się kompletnie absurdalna: oto sprzedawca, który zniechęca klientów, by u niego kupowali. Prawdopodobnie wraca co wieczór do domu, zastanawiając się, dlaczego nie sprzedał więcej czasopism.

- Kupuje pani albo nie. Proszę się zdecydować - dobiegło mnie znowu.

Najchętniej po prostu bym wyszła, szukałam jednak tego magazynu od tygodnia, sprzedawany był głównie w prenumeracie i trudno było go dostać na stoisku. Podeszłam do lady.

- Jest pan bardzo nieuprzejmy, wie pan o tym? Jak ktoś ma zrobić zakupy, nie obejrzawszy wpierw towaru?

Zapłaciłam, podając banknot pięciodolarowy i dwie monety dwudziestopięciocentowe.

- Nie podoba się, to proszę wyjść. Nie potrzebuję pani pieniędzy.

Byłam coraz bardziej zła. Chciałam kupić kilka czasopism, a proszę, co mnie spotkało.

- W takim razie moja noga więcej tu nie postanie. - Odwróciłam się i wyszłam. Usłyszałam jeszcze, jak rzuca w ślad za mną:

- Pieprzona dziwka.

Zignorowałam go. Co za dziwak. Jak to się stało, że w ogóle prowadzi interes? Zapaliłam papierosa i kilka razy się zaciągnęłam. Nadal byłam zła i fakt ten nieco mnie zawstydział. Powinnam być ponad to, nie brać nienawidzącego kobiet kretyna poważnie.

Spojrzałam na zegarek. Do drugiej pozostało jeszcze piętnaście minut. Jeśli wybiorę dłuższą drogę, pójdę ulicami zamiast aleją, wrócę akurat na czas. Mogłabym zapalić jeszcze jednego papierosa i trochę się odprężyć. Miałam za sobą stresujący

ranek spędzony na użeraniu się z elektrykami pracującymi w domu Fitzgeraldów, a teraz jeszcze ta idiotyczna kłótnia z nieznanym. Już miałam przejść ulicę, kiedy śpiesząca się kobieta - a może był to mężczyzna z długimi włosami - przemknęła obok z szybkością błyskawicy i omal mnie nie przewróciła. Potknęłam się, lecz odzyskałam równowagę. Przekleć posłańcy.

A potem nic. Dziura. Przymknęłam na chwilę oczy, spodziewając się uderzenia i nagle czas jakby przestał istnieć. Stałam z papierosem w dłoni na rogu ulicy, wdychając rozpalone, pełne smogu powietrze, kiedy pojawił się posłaniec. Straciłam równowagę, potknęłam i nagle - ledwie byłam w stanie to sobie przypomnieć - wszystko pociemniało, a moje stopy straciły kontakt z ziemią.

Zaćmienie minęło równie szybko, jak się pojawiło, i znowu stałam przed sklepem na rogu. Tyle że bez papierosa. Oczywiście zwykle nie pamiętamy, jak go gasiliśmy, zwłaszcza gdy ktoś pali jak smok, co oznacza, że wykonuje tę czynność dwadzieścia razy każdego dnia.

Ale gdzie się podziało czasopismo? Spojrzałam na biurko. Nie było go tam. Wróciłam myślami do sklepu na rogu. Po tym jak posłaniec niemal mnie potracił, potrzebowałam chwili, by dojść do siebie. Ot, taki tam zawrót głowy. Wróciłam bocznymi uliczkami do biura, wypalając kolejnego papierosa i zatrzymując się, aby podziwiać przez chwilę krzak czerwonej róży na frontowym dziedzińcu. Nim weszłam do budynku, spojrzałam jeszcze raz na zegarek. Za pięć, jak się spodziewałam. Zerknęłam jednak tylko na dłuższą wskazówkę, minutową. No dobrze, ale gdzie jest czasopismo? Nie miałam go, kiedy wracałam do pracy. Pamiętam, że sięgając do torebki po papierosy i zapalniczkę, miałam obie ręce wolne. Nie trzymałam ani papierosa, ani czasopisma.

Rozmyślałam nad tym przez kilka minut i wreszcie znalazłam odpowiedź: musiałam zemdleć. To jedyna możliwość. Choć wydawało mi się, że tylko się potknęłam, straciłam widzieć przytomność i nie odzyskałam jej przez niemal godzinę, a potem wróciłam do pracy, nie pamiętając, co się stało, i jakimś cudem nie zwracając uwagi żadnego z przechodniów. Przez chwilę zastanawiałam się, czyby nie pójść na pogotowie, lecz odrzuciłam ten pomysł. Czułam się dobrze.

Czyż to nie typowe dla mieszkańców tego miasta: nawet się nie zatrzymać, pomyślałam. Oczywiście właściciel sklepu musiał widzieć wszystko przez wystawę, ale z pewnością nie ruszyłby palcem, by mi pomóc. Zadzwoiłam do Edwarda, lecz nie było go w biurze. Reszta dnia minęła bez incydentów i o szóstej ruszyłam do domu.

Na sekretarce znalazłam wiadomość od Eda. Miał wrócić późno. Znowu. Pożywiłam się miską płatków zjedzonych przy kuchennym stole i prawie zapomniałam o omdleniu. Przypomniałam sobie o nim dopiero, gdy weszłam do sypialni, by przebrać się w piżamę. Pod żakietem, na lewym ramieniu białej bluzki spostrzegłam szereg małych brązowych kropek.

Wyglądały jak krew. Prawdę powiedziawszy nie mogło być co do tego wątpliwości. Mój umysł wykonał następnego fikołka. Potem przed oczyma stanął mi niedosmażony hamburger, który jadłam w barze. Tajemnica rozwiązana. Plama powstała podczas lunchu. Pomieszana z sosem krew trysnęła z hamburgera na moje ramię, omijając żakiet, a potem zemdlalam i o wszystkim zapomniałam. Jakie to proste.

Edward wrócił o dziewiątej z torbą meksykańskiego jedzenia i naręczem przeprosin. Powiedziałam mu, co mi się przydarzyło, a on zaszokowany przepytał mnie z serdecznością przepracowanego lekarza z izby przyjęć: Co jadłam? Mam może okres? Dobrze spałam ostatniej nocy? Jak czuję się teraz?

- Dlaczego tak mnie wypytyujesz? - Zawołałam. Czulałam się dobrze, wyglądałam dobrze i w końcu udało mi się go przekonać, że wszystko ze mną w porządku.

Kilka dni później oglądałam w telewizji wiadomości. Ed był jeszcze w pracy. Słońce dopiero co zaszło i przez okna sączyła się szarość wieczoru, zlewając się z błękitną poświatą ustawionego na środku telewizora. Siedziałam na sofie, zabierając się do zjedzenia kolejnego posiłku na wynos; tym razem było to tajskie danie i sałatka z papai.

Nagle na ekranie mignęła ledwie znajoma twarz. Należała do mężczyzny w średnim wieku, ani trochę nie pociągającego. Skąd ja go znam?

- Kareem Singh został dziś pochowany - przemówił z offu damski głos, podczas gdy kamera pokazywała pogrzeb w zatłoczonych slumsach. - Właściciel sklepu z gazetami został w poniedziałek po południu zamordowany przecinakiem do pudeł podczas, jak sądzi policja, próby rabunku.

Oczywiście. Dupek ze sklepu z gazetami. To okropne, co mu się przydarzyło. Nie byłam jednak zaskoczona, zważywszy, jak traktował klientów. Prawdopodobnie powiedział coś nie tak nie do tej osoby co trzeba. I pomyśleć, że byłam tam w poniedziałek, zapewne tuż przed...

Na najkrótszą z możliwych chwilę, ułamek sekundy, coś mi zaświtało. Stłumiłam ją równie szybko, jak rozbłysła. Niemożliwe. W wiadomościach



pokazywano już coś innego, ujęcie po ujęciu, i nie zwracałam sobie więcej głowy tym, co przemknęło mi przez myśl.

Musiało minąć kilka miesięcy, bym wywołała to wspomnienie i uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej zamordowałam sprzedawcę własnymi rękami.

W tamten weekend wybraliśmy się do Muzeum Azjatyckiego, aby obejrzeć wystawę rzadkich japońskich mebli z okresu Meiji, które tak podobają się Edowi. Zwiedziwszy wystawę, zjedliśmy w kawiarni muzeum elegancki lunch składający się z sałatki z rukwi i łososia na chlebie bez skórki. Posiłek, choć elegancki, nie był sycący, toteż wkrótce poczuliśmy znów głód i ruszyliśmy do parku, poszukać stoiska z hot dogami i preclami.

W parku natknęliśmy się na Aleksa i Sophie oraz ich sześcioletnią córeczkę Claire. Nie lubiłam Aleksa i Sophie, gdyż reprezentowali sobą wszystko to, co denerwowało mnie u Eda, tyle że w stopniu zwielokrotnionym. Pracowali w finansach i zarabiali tony pieniędzy. Ich mieszkanie było odpychająco wręcz nieskazitelne i nudne, z absurdalnie białym dywanem czyszczonym dwa razy w tygodniu przez kobietę zatrudnianą specjalnie w tym celu.

Na szczęście była z nimi Claire, mogłam więc liczyć na trochę przyjemności. Podczas gdy Ed i jego przyjaciele rozprawiali o awansie Aleksa, uważając to za interesujące, ja i Claire powędrowaliśmy do jeziora, popatrzeć na łabędzie. Wyjaśniłam małej, że ptaki, choć piękne, mogą być też niebezpieczne. Póki nie czują się zagrożone, mówiłam, wszystko jest w porządku. Lecz jeśli spróbuje się podejść zbyt blisko, z pewnością zaatakują, próbując uszczypnąć dziobem.

Podeszłyśmy do wody i przez minutę czy dwie przyglądałyśmy się, jak cztery łabędzie czyszczą sobie nawzajem pióra twardymi dziobami pomarańczowej barwy. Potem Claire odwróciła się ku mnie - a właściwie niezupełnie ku mnie, patrzyła bowiem nieco w bok, na lewo. Zrobiła tak kilka razy i w końcu zaczęłam się rozglądać, sprawdzając, czy nie dzieje się tam coś interesującego. Wiedziałam jednak, że mała dziewczynka może uznać za fascynujące niezwykle źdźbło trawy czy porzucony korek od butelki, nie zwróciłam więc na zachowanie Claire szczególnej uwagi.

Za którymś razem, odwracając się, zapytała:

- Jesteś pewna?

- Czego, kochanie? - Zapytałam. Zignorowała mnie.

- W porządku - powiedziała, a potem wyrwała mi się, podbiegła do wody i wyciągnęła rękę ku najbliższemu łabędziowi. Ptak wyciągnął długą szyję, czemu towarzyszyło wyjątkowo wredne syknięcie. Wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. Podbiegłam do Claire, chwyciłam ją w objęcia i odskoczyłam. Łabędź wygramolił się na brzeg i ruszył ku nam.

- Sio! - Krzyknęłam. - Spieprzaj!

Zatrzymał się i spojrzał na mnie paciorkowatymi oczkami. Odbiegłam od brzegu. Claire spoczywała w moich ramionach niczym worek ziemniaków. Gdy znalazłyśmy się o kilka jardów od stawu, postawiłam ją i odprowadziłam do rodziców.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Spytałam, gdy szliśmy.

Claire ściągnęła brwi i wydeła usteczka.

- Ona mi kazała! - Zawołała. - Powiedziała, że mogę!

- O czym ty mówisz? Nikt ci nie kazał nic robić!

- Ona! - Potwierdziła Claire z uporem, spoglądając na lewo ode mnie, pod tym samym kątem co wcześniej. - Twoja przyjaciółka.

- Kto, kochanie?

- Pani, która jest z tobą przez cały czas - odparła. Zrobiła nadąsaną minkę i wbiła wzrok w ziemię.

Gdy wróciłyśmy do pozostałych, powiedziałam Sophie, że jej córka kłamie.

\*  
\*       \*  
\*

Tego wieczoru zdjęłam z półki książkę o opętaniu przez demona i jeszcze raz wykonałam test. Tym razem zakreśliłam siedem odpowiedzi na „tak”.

*0-3: Prawdopodobnie nie jesteś opętany. Idź do lekarza lub specjalisty od zdrowia psychicznego, by to ocenił.*

*3-6: Możesz być nawiedzany albo znajdować się we wczesnym stadium opętania. Nie panikuj. Poszukaj duchowej porady i wsparcia.*

*6-10: Jesteś opętany. Natychmiast skontaktuj się z duchowym doradcą. Możesz stanowić zagrożenie dla siebie i bliskich. Zerknij na strony, gdzie podane zostały informacje na temat działających w pobliżu twego miejsca zamieszkania doradców.*

Doradcą działającym najbliżej mego miejsca zamieszkania okazała się siostra Maria. Co mi szkodzi? Pomyślałam. Od dawna miałam ochotę odwiedzić kogoś takiego choćby po to, aby przekonać się, jak działa - poznać sztuczki, jakimi się posługuje, naprowadzające pytania - ponieważ nie mogło być przecież w tym nic więcej. Oczywiście nie wierzyłam w media, spirytystów, demony czy diabły. Jeśli będę miała szczęście, siostra Maria okaże się osobą inteligentną i obdarzoną silną intuicją, kimś, kto pomoże mi poznać naturę zmian, jakie dostrzegłam u siebie w ciągu kilku minionych miesięcy. Znajdź trochę czasu na relaks, powie zapewne. I zacznij brać witaminę C. W najgorszym razie będzie z czego się pośmiać. Od roku często posługiwałam się tym wyrażeniem: będzie z czego się pośmiać. Używałam też słowa: ciekawość. To właśnie powiem Edowi, jeśli odkryje, że nie byłam tego dnia w domu Fitzgeraldów: poszłam do siostry Marii po prostu dla zabawy. Z ciekawości.

W najbardziej wysuniętej na północ części miasta, gdzie znajdował się sklep, biuro czy też gabinet siostry Marii - nie wiedziałam, czego się spodziewać - chodniki usłane były opakowaniami po jedzeniu na wynos, kapsłami od butelek i zużytymi strzykawkami. Okna w rozpadających się czynszówkach były powybijane, a niekiedy w ogóle ich nie było. Puste framugi zabito deskami z drewna balsa lub zwykłą sklejką. Mimo to okolica nie była pozbawiona uroku: przed wejściem do jednego z domów siedział, trzymając kapelusz w dłoni, starszy mężczyzna. Pozdrowił mnie grzecznie, życząc miłego dnia. Na ścianie sklepu spożywczego zauważyłam niewielką plaketkę Komisji Zabytków zaświadczącą, że w latach trzydziestych mieścił się tu słynny klub jazzowy. Nawet teraz z otwartego okna dobiegały zawodzące, powolne dźwięki big bandu. *Accompaneme*, wyśpiewywał kobiecy głos - chodź ze mną. Na środku jezdni gromada dzieciaków grała w klasy. W górze ulicy stadko nastolatek przysiadło na tarasie przed domem, udając, że ignorują grupkę popisujących się przed nimi chłopców.

Pod numerem 77 znajdował się sklep z naturalnej wielkości gipsową figurą Madonny na wystawie. Posąg przyodziano w czarną perukę i białą suknię. U jego stóp

umieszczono misę z wodą, na dnie której spoczywały monety. Szyba była czysta, a chodnik przed sklepem zamieciony. Kiedy otwierałam drzwi, rozległ się dźwięk dzwonka. Za nimi znajdowało się niewielkie pomieszczenie z półkami podobnymi do tych, jakie widuje się w spożywczym, tyle że nie byłam pewna, co właściwie znajduje się na półkach. Słoje z ziołami. Litrowe flaszki zielonego i brązowego płynu, oznaczone cyframi. Olejek przyjdź-do-mnie, mydło przyciągające pieniądze, spray sprowadzający na dom pomyślność, puder na szybsze poruszanie się, ocet siedmiu złodziei, Woda z Florydy, olej Św. Krzysztofa. Świece w kształcie mężczyzn, kobiet, kotów i psów.

Przezroczyste piramidy pełne zaklęć, dobre, stare kryształowe kule w różnych rozmiarach. Za szklaną gablotką z medalionami i zaklęciami stał nastoletni chłopiec, wyglądający w tym otoczeniu nieco dziwnie za sprawą modnych džinsów i srebrnego kółka w dolnej wardze. Uśmiechnął się i spytał, w czym może pomóc.

- Przyszłam, eee, zobaczyć się z siostrą Marią.

Podszedł do drzwi na zaplecze, otworzył je i krzyknął coś w języku, którego nie słyszałam nigdy przedtem - prawdopodobnie był to portugalski. Choć go nie znałam, niewiadomym sposobem rozumiałam, co zostało powiedziane.

- Jakaś biała chce się z tobą zobaczyć - zawołał chłopiec. - Nigdy jej tu nie widziałem.

- Przyślij ją do mnie - zawołała kobieta w odpowiedzi - a potem zamknij i idź na lunch.

\*  
\*       \*  
\*

Zaplecze sklepu przypominało gabinet taniej wróżki - tak jak ja go sobie wyobrażałam - ściany obite ciemnoczerwonym aksamitem, składany stolik do kart z kolejną warstwą aksamitu przyciśniętego kryształową kulą, filiżanka do wróżenia z herbacianych liści, pióro i papier, talia kart do tarota. Przy stole siedziała kobieta starsza ode mnie o pięć, dziesięć lat, o cerze barwy gałki muszkatołowej i ładnych rysach ukrytych pod zbyt grubym makijażem. Miała na sobie džinsy i obcisły żakiet z denimu. Gestem zaprosiła mnie, bym usiadła na stojącym naprzeciw składanym krześle. Posłuchałam.

Byłam ciekawa. Robiłam to przecież tylko tak, dla śmiechu.

- Jak ci na imię? - Spytała.

Zapisała je na papierze i dokonała szybkich obliczeń.

- Jesteś siódmką - powiedziała. Wzięła do rąk talię kart do tarota i rozłożyła siedem kartoników na stole. Śmierć, Wieża, Królowa Pentakli, Księżyc, Pięć Mieczy, Osiem Mieczy, Kochankowie. Nie miałam pojęcia, co oznaczają. Maria wpatrywała się w nie przez kilka minut, potem spojrzała na mnie, ściągając brwi, i znowu wbiła wzrok w karty.

- Ktoś cię obserwuje - powiedziała w końcu. - Stoi tuż obok. Jest piękna, lecz czarna. Zła. Próbowalaś się jej pozbyć?

To nie było zabawne. Ani trochę.

- Kto to taki? - Spytałam.

- Nie kto, lecz co - odparła Maria. - To demon. Widzę ją: ma długie czarne włosy i zastrzone zęby.

- Jesteś pewna, że to demon?

Maria skinęła głową.

- Nikt inny nie miałby tak czarnej aury. Zatem nie próbowałaś jeszcze się jej pozbyć?

Potrząsnęłam głową.

- Nie wiedziałam.

- Naprawdę nie wiedziałaś, co to takiego? - Spytała Maria podejrzliwie. Gdy na mnie spoglądała, aż łaskotało mnie w żołądku, zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy zjawiałam się w szkole, nie odrobiwszy lekcji. Czułam się tak, jakbym zrobiła coś paskudnego i została na tym przyłapana.

- Nie - odparłam. - Skąd miałam wiedzieć?

Maria zerknęła na mnie spod oka, jakby nie kupowała wymówki.

- Musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem, to bardzo ważne. Dam ci płyn do mycia. Numer pięć. Przez trzy wieczory z rzędu będziesz wylewała go na siebie, modląc się do Boga, by ci pomógł. Potem przestaniesz na trzy dni i powtórzysz kurację. Używaj płynu, póki się nie skończy. Nie sprawi, że demon zniknie, ale oczyści twą duszę, byś mogła skuteczniej z nim walczyć. Najważniejsze jest jednak, byś nigdy, przenigdy się nie poddała. Jeśli dasz jej choć cal, weźmie sobie sto mil.

- A jeśli płyn nie zadziała? - Spytałam.

- Zawsze działa.

- Lecz jeśli tym razem będzie inaczej?

- Ona tobą zawładnie. Prawdopodobnie już zaczęła to robić. Nie stanie się to natychmiast. Nie stracisz siebie od razu, lecz będziesz traciła kawałek po kawałku.

Dlatego musisz zrobić to, co ci powiedziałam.

- W porządku. Zrobię tak - obiecałam.

Maria wstała i zrozumiałam, że zostałam odprawiona. W sklepie zapłaciłam chłopcu, który zdążył już wrócić i popatrywał na mnie z zaciekawieniem. Podał mi wielki słój z rzadkim zielonoszarym płynem, w którym pływały jakieś liście, gałązki i kilka małych jagód przypominających ziarnka pieprzu. Na białej naklejce wydrukowano czarnym tuszem: NUMER 5, ODPEŁDZANIE DEMONA.

\*  
\*        \*

Siostra Maria rzuciła na mnie urok, lecz kiedy wróciłam do domu, nietrudno mi było na powrót uznać całą sprawę za doskonałą okazję, aby się pośmiać. Tylko że jakoś nie było mi do śmiechu, nie powiedziałam też o wyprawie nikomu. Uznałam, że mogę użyć płynu z butelki. Co mi szkodzi, pomyślałam. Nie spodziewałam się rzecz jasna fajerwerków ani nic innego, ale przecież nie zaszkodzi spróbować. Natarłam starannie wydrukowaną etykietkę olejem, by móc powiedzieć Edwardowi, że to płyn do kąpieli. Rozebrałam się, weszłam do wanny i prosząc Boga, aby mi pomógł, wylałam sobie płyn na głowę. Pachniał lukrecją i trochę szczypał w oczy. Zamknęłam usta, by go nie połknąć - zapomniałam spytać, czy mógłby okazać się szkodliwy. Rozłożyłam ramiona i pozwoliłam, by spłynął, zostawiając po sobie gęsią skórkę.

Nic się nie wydarzyło. Nie byłam pewna, czy powinnam go zmyć czy też pozwolić, by wysechł na skórze, pachniał jednak zbyt mocno, wzięłam więc krótki ciepły prysznic, a potem wytarłam się i założyłam piżamę. Resztę wieczoru spędziłam zajmując się rachunkami i oglądając telewizję.

Kilka dni później owczarek nadal czekał na stacji, spoglądając wprost przeze mnie. Idiota nie wiedział już, kim jestem.

- Odejdź - prychnęłam. - Wynoś się stąd.

Pies spojrzał na mnie, a ja na niego. Naprawdę go teraz nienawidziłam, głupiego zwierzaka wpatrującego się we mnie oskarżycielsko wielkimi oczami w kolorze czekolady.

- Odejdź - zawołałam znowu, wskazując otaczające dworzec pustkowie w kierunku przeciwnym do naszego domu. Nie odrywając ode mnie spojrzenia, opuścił barki i podniósł ogon, jakbym drapała go po grzbiecie. A potem skoczył ku mojej wyciągniętej dłoni i ją ugryzł.

Krzyknęłam, bardziej z szoku niż z bólu. Na skórze widać było zaledwie nikły ślad zębów, bolało też raczej tak, jakby na rękę spadła mi książka, nie tak, jak moim zdaniem powinno boleć ugryzienie. Tymczasem pies, ugryzłszy mnie, położył się z głową pomiędzy łapami i zaskomlił. Teraz on bał się mnie bardziej niż ja jego.

- Spieprzaj! - Wrzasnęłam. Idiota wstał i uciekł.

Poszłam do domu, umyłam rękę, owinęłam ją w czystą białą ściereczkę i zadzwoniłam do Eda z nadzieją, że będzie mógł zawieźć mnie na pogotowie. Nie było go, zadzwoniłam więc po taksówkę. Zanim dotarłam do szpitala, ręka bolała już tak, jak sobie wyobrażałam, że powinno boleć ugryzienie. Zadzwoniłam znowu do Eda. Nadal go nie było. Spędziłam w poczekalni trzy godziny, próbując domyślić się, co dolega ludziom, którzy znaleźli się tam ze mną. Czasami sprawa była oczywista - suchy kaszel, spuchnięty wyrostek - w większości wypadków musiałam jednak zgadywać. W końcu wprowadzono mnie do jasno oświetlonego gabinetu mikroskopijnych rozmiarów, gdzie doktor dezynfekował ranę i spytał, czy znam psa, który mnie ugryzł.

- To ważne? - Spytałam.

- Tak, ponieważ jeżeli nie wie pani, kto jest jego właścicielem, będzie musiała pani dostać teraz dwa zastrzyki, kolejny za trzy dni, następny za siedem, ponowny za



czternaście i ostatni za dwadzieścia osiem dni. Ugryzienie przez obcego psa zawsze pociąga za sobą ryzyko wścieklizny.

- A gdybym była absolutnie przekonana, że ten pies nie ma wścieklizny? - Spytałam.

- Skoro go pani nie zna - odparł zirytowany - nie może pani być absolutnie pewna, że jest zdrowy. Jedyne rozwiązanie, aby uniknąć zastrzyków, to przynieść próbkę mózgu psa. Proszę się przygotować, zaboli.

Co powiedziawszy, wbił mi grubą igłę w ramię w pobliżu ugryzienia, a potem drugi raz, powyżej. Bolało bardziej niż ugryzienie.

Nawet ja wiedziałam, że próbki mózgu nie da się pobrać od żyjącego psa. Doskonale, pomyślałam w pierwszej chwili. Głupi sukinsyn na to zasłużył. Lecz potem przypomniałam sobie stare niemądre psisko, mojego kumpla, najlepszego towarzysza, i to, jak niezmordowanie starał się mnie uwieść, nawet gdy wyjaśniłam, że jestem mężatką. Nie mogłam zrobić mu krzywdy. Zatem trzeciego, siódmego, czternastego i dwudziestego ósmego dnia po tym, jak zostałam ugryziona, zameldowałam się znów w gabinecie, by otrzymać dalsze bolesne zastrzyki. Pies tymczasem zniknął i nigdy więcej go nie widziałam.

\*  
\*       \*

Kiedy wróciłam o jedenastej do domu, Ed już tam był, zdenerwowany i wściekły, że pozwoliłam mu się martwić. Gdy wyjaśniłam, gdzie się podziewałam, i pokazałam paskudne czerwone ślady na ręce, odpuścił i okazał stosowne współczucie.

- Choć prawdę mówiąc - powiedział, ucałowawszy moją dłoń - powinnaś była zadzwonić.

Siedzieliśmy wtuleni w siebie na sofie, a on podtrzymywał delikatnie moją zranioną rękę. Przez chwilę znowu byliśmy parą zakochanych. Przyjaciółmi. A teraz to. On chce, bym go przeprosiła, zdumiałam się.

- Próbowałam - powiedziałam. - Dwa razy.

- Mimo to się martwiłem.

Gdzie on był? Pomyślałam.

- Próbowałam - powtórzyłam. - A tak nawiasem mówiąc, gdzie byłeś?

Ed skrzywił się.

- Co masz na myśli? Jak to: gdzie byłem? Przecież wiesz, że pracowałem.

- Tak tylko zapytałam. Powinieneś sprawić sobie komórkę. Na wypadek nagłej

konieczności. Ostatnio często nie ma cię w biurze.

Ed przewrócił oczami.

- Zawsze przebywałem dużo poza biurem, Amando, taką mam pracę. Przecież o tym wiesz.

Więc dlaczego nie kupisz sobie telefonu?

- Więc dlaczego nie kupisz sobie telefonu?

- Po co, żebyś mogła mnie pilnować?

- Nie, nie po to, bym mogła cię pilnować. Już prędeż po to, byś jeśli twoją żonę ugryzie wściekły pies, mógł odwieźć ją na pogotowie.

Ed puścił moją rękę.

- Zamierzasz robić to częściej? Drażnić się z bezpańskimi psami i zarażać wścieklizną? Bo jeśli tak, może powinnaś dać się zaszczepić albo coś w tym rodzaju.

Siedzieliśmy teraz sztywno jedno obok drugiego.

- Tak, Ed - powiedziałam. - Zamierzam robić to częściej.

Kiedy po siedmiu dniach poszłam do doktor Flynn, aby otrzymać kolejny zastrzyk, wspomniałam mimochodem o omdleniu, jakie przydarzyło mi się przed kilkoma tygodniami. Doktor Flynn była blondynką, mniej więcej w moim wieku. Od lat opiekowała się Edem i kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, a było to w dzień po wizycie na pogotowiu, natychmiast poczułam się zazdrosna. Nie była osobą, którą wybrałabym, aby badała mego nagiego męża. Jednakże mój lekarz, doktor Jeff Winston, zmarł dwa miesiące wcześniej na zawał, a Ed wprost rozpląwał się nad doktor Flynn.

Zbadała mnie starannie, pobrała krew, a potem wypytywała przez niemal pół godziny o dzień, kiedy zemdlałam. Co jadłam? I kiedy? Czy miewam dziwne zachcianki, jeśli chodzi o jedzenie? Dziwaczne sny? Nierozsądne myśli? Czy bywam wystawiana na działanie toksycznych substancji? I tak bez końca.

Wreszcie po całym tym wypytywaniu, testach, kluciu i pobieraniu próbek powiedziała, że mam niskie ciśnienie i powinnam jeść więcej soli. Spodobała mi się ta diagnoza. Wszystko dawało się wyjaśnić, nie było czym się przejmować. Potrzebowałam tylko większej dawki soli.

Uznałam, że skoro napar siostry Marii nie wywarł odczuwalnych skutków, widać nie był mi potrzebny. Oczywiście stosowałam go i tak, ale wyłącznie dla zabawy. Z ciekawości. Lecz sny, w których pojawiała się karmazynowa plaża i niezwykła kobieta, nie znikwały. Nadal klóciłam się z Edem, zdarzało mi się też złapać na ulicy taksówkę i pojechać do baru, gdzie wypiłam kiedyś morze tequili. Nad miasto nadciągnęła fala upałów i wszyscy stali się niezwykle drażliwi. Ed wracał wieczorami do domu, skarżąc się na upał, a ja miałam ochotę go udusić. Wiedziałam, że jest gorąco. Nie musiałam jeszcze o tym rozmawiać.

Od czasu do czasu przemykało mi przez myśl, że bardzo się zmieniłam. Cofałam się wówczas pamięcią, przyglądałam sobie i byłam przerażona. Dawna Amanda, ta, którą od lat doskonaliłam, najchętniej uniosłaby głowę i wrzasnęła głośno ze strachu.

Lecz właśnie w chwili kiedy już miałam dostrzec prawdę, kiedy fragmenty układanki już zaczynały wskakiwać na swoje miejsce i niemal widziałam, że sytuacja staje się przerażająco, drastycznie zła, demon wtrącał swoje trzy grosze zapewniając, że nic podobnego, jestem tą samą Amandą, którą byłam zawsze. Tylko lepszą.

A potem odbyło się przyjęcie w „Earmark”, śródmiejskim hotelu dla podróżującej samolotami socjety. Fields&Carminie zaprojektowali od nowa wystrój holu, restauracji i baru i zostali zaproszeni na inauguracyjne party. Ed, jakże by inaczej, musiał pracować tego dnia do późna, zabrałam się więc taksówką z innymi samotnymi osobami z biura.

Zamierzałam zostać na kilka drinków, wypełnić zobowiązania wobec firmy i się zmyć. Jednakże przyjęcie nabrało tempa i szybko stało się jasne, że niełatwo będzie wyjść niezauważonym. Ludzie, z którymi przyjechałam, gdzieś znikli. Wdałam się w pogawędkę z braćmi Tomem i Billem Earmarkami, właścicielami hotelu. Ledwie ich znałam - rozmawialiśmy przez krótką chwilę w biurze, uczestniczyłam też w kilku naradach. Nie minęło wiele czasu, a Tom zaprowadził mnie za bar, by poczęstować martini, które sam przyrządził, aby ominąć kolejkę, a potem zaproponował, że mnie oprowadzi. Gdy tylko dotknął mego ramienia, poczułam przeblysł intuicji - podobasz mu się, i to od dawna, od pierwszej chwili, kiedy zobaczył, jak wchodzisz do biura ze świeżą opalenizną na nosie i rozpuszczonymi włosami.

Później obraz zaczął się zacierać. Rozmawiałam z Tomem. Jego oczy, ładne, duże, czyste i niebiesko-szare, z każdą chwilą bardziej mi się podobały. Piliśmy martini, ale alkohol wcale na mnie nie działał. Było mnie tam coraz mniej. Wyślizgiwałam się. Rozmawiałam z Tomem, choć nie miałam pojęcia o czym, jego oczy z każdą chwilą wydawały mi się ładniejsze, podobnie jak kości policzkowe - doprawdy nieodparte - więc rozmawiałam, nie, nie tylko rozmawiałam, flirtowałam bezwstydnie, kładąc mu dłoń na ramieniu, a potem na barkach, i ze śmiechem odrzucając do tyłu głowę. Tyle że mnie tam wcale nie było. Obserwowałam to, co się dzieje, lecz jakby spoza ciała. Wszystko wydawało się tak poplątane - chwytalam urywki rozmów i dziwne wrażenia, takie jak mocny zapach dżinu, uczucie, że głośna muzyka pulsuje w mojej piersi. Jak gdybym oglądała film późno w nocy, na wpół uśpiona, nie ogarniając treści. Rozmawialiśmy i dużo się śmialiśmy, a potem odbyłam rundkę po pustej kuchni. Jeszcze później znaleźliśmy się z Tomem w windzie.

Obejmował ramieniem moją talię. Pomyślałam, że może i jestem w windzie z Tomem, lecz równie dobrze mogę znajdować się w innym miejscu. Albo być inną osobą. Próbowałam ogarnąć sytuację, upewnić się, kim i gdzie jestem, ale nie mogłam jej uchwycić, sytuacja wymykała mi się z rąk, pozostawiając mnie pełną wątpliwości i niepewną.

Wreszcie znaleźliśmy się w apartamencie na ostatnim piętrze. Był wspaniały, z osobną sypialnią po jednej stronie, naprawdę nowoczesną i przestronną, utrzymaną w neutralnych kolorach, no i oczywiście była też odprężająca anonimowość, jaką zapewnia wielki hotel. Czułam się tak, jakbym patrzyła na fotografię: widziałam pokój, ale mnie w nim nie było. W jednej chwili siedzieliśmy na sofie z butelką wina, a w drugiej już byliśmy w łóżku. Tom wyglądał pięknie bez ubrania. Wykrzyknął moje imię, poczerwieniało mi przed oczami, usłyszałam dobiegający skądś ryk, jakby oceanu, i nie wiedziałam już, kim jestem ani gdzie.

A potem było po wszystkim. Tkwiłam znów w swoim ciele, absolutnie obecna, świadoma siebie i otoczenia. Siedziałam na skraju łóżka naga i drżąca. Tom leżał, chrapiąc obrzydliwie, pogrążony w pijackim śnie. Byłam zniesmaczona. Przewracał mi się żołądek. Jak, zapytywałam siebie w duchu, jak, u licha, coś takiego mogło się stać? Taka paskudna, okropna rzecz. Najbardziej paskudna i obrzydliwa rzecz, jaką zrobiłam kiedykolwiek. Ubrałam się i wybiegłam czym prędzej na ulicę, gdzie zwymiotowałam do ścieku, a potem złapałam taksówkę, żeby zabrała mnie do domu.

\*  
\*       \*

Gdy następnego wieczoru przechadzałam się alejkami supermarketu, wczorajsza noc stała mi jak żywa przed oczami. W dziale mięsnym zatrzymałam się i zaczęłam oglądać steki. Przygotuję Edowi ulubioną kolację, stek z sosem grzybowym i zacznę od nowa, nauczę się postrzegać go znów jako mojego męża, mężczyznę, którego wybrałam, aby kochać go i szanować przez resztę życia. Cały ten nonsens musi się skończyć. Teraz kłóciliśmy się już niemal codziennie. W rzadkich przeblyskach jasności umysłu uświadamiałam sobie, że nasz związek się rozpada i że jeśli nie zatrzymam tego natychmiast, wkrótce nie będzie czego ratować.

Porównywałam właśnie ceny steków z kością, gdy demon znów wśliznął się w moje myśli. Chcesz robić kolację? Szydził. Całe godziny w kuchni, a on i tak nie zjawi się w domu na czas i nie doceni tego, że się starałaś. Poza tym Ed nie gotował dla ciebie od wieków, od czasu tej okropnej papki z fasolki szparagowej, którą upichcił

przed kilkoma miesiącami.

Wrzuciłam stek z powrotem do pojemnika, porzuciłam wózek i wyszłam z supermarketu. Resztę wieczoru spędziłam oglądając i kupując buty. Demon uwielbiał zakupy. Dwa lub trzy razy w tygodniu wyprawiałam się z kartą kredytową w miasto, aby sprawić sobie drobną przyjemność. Rezultaty tych wypraw, oglądane w domu, wprawiały mnie w konsternację. Po co kupiłam skórzany żakiet, skoro mam już dwa takie w szafie? I co skłoniło mnie, bym sądziła, że potrzebuję czerwonej koktajlowej sukienki?

Wróciłam do domu z trzema parami butów na wysokim obcasie, nie kupiwszy nic do jedzenia. Ed wrócił o ósmej, zaledwie godzinę później, niż zapowiedział, i okropnie pokłóciliśmy się o to, dlaczego nie kupiłam nic na kolację, skoro jak nie omieszkał mi wypomnieć, obiecałam, że to zrobię.

\*  
\*       \*

Nazajutrz wstąpiłam do księgarni, dużego wielopoziomowego sklepu, pustego i przestronnego o tak wczesnej porze. Przerzucałam właśnie książki na temat harmonii psychicznej, dostrajania czakr, oczyszczania aury i temu podobne, gdy ktoś zapytał:

- Mogę w czymś pomóc?

Głos należał do kobiety dojrzałej, nie był to zwykły falset księgarskiego sprzedawcy.

- Nie, dzięki - odparłam, podnosząc z uśmiechem wzrok. Nikogo koło mnie nie było. Obróciłam się i sprawdziłam całe przejście. Nikogo.

Z powrotem do książek. Przejrzałam jeszcze kilka tytułów. A potem...

- Szuka pani czegoś?

Odwrociłam się tak szybko, jak tylko byłam w stanie. Nikogo. Ponad krawędzią następnej półki dostrzegłam jednak czubek głowy z gęstymi ciemnymi włosami, szybko przemieszczający się sąsiednim przejściem.

Gdzieś za mną rozległ się huk. Krzyknęłam i podskoczyłam, odwracając się. Odgłos spowodowała książka, która spadła z najwyższej półki. Natychmiast poczułam się jak idiotka. To tylko książka. Dwójka młodych sprzedawców, chłopiec i dziewczyna, już ku mnie biegła.

- Nic się pani nie stało? - Zapytał piskliwym głosem chłopak.

- Nie, ja tylko... Książka spadła i przestraszyła mnie. Przepraszam.

Dziewczyna pochyliła się i podniosła tom. „Encyklopedia demonów”.

- Coś takiego - powiedziałam. - Mogłabym...

- Oczywiście - odparła dziewczyna, podając mi książkę. Dodałam ją do stosu, który zdążyłam już zgromadzić, zapłaciłam i wróciłam do domu, by się spakować. Następnego ranka mieliśmy wyjechać do domku na plaży, należącego do Aleksa i Sophii. Ed chciał wyruszyć wcześniej, aby uniknąć weekendowych korków.



Choć o tym nie rozmawialiśmy, było jasne, że oboje będziemy starali się zachowywać w ten weekend jak najlepiej, aby pchnąć nasz związek znów na właściwe tory. W sobotni poranek wydawało się to całkiem proste. Dzień wstał cudowny, letnie słońce zalewało świat ciepłem i złotem, a my słuchaliśmy rockandrollowego maratonu. Ed podśpiewywał do wtóru pod nosem, ja zaś zdjęłam buty i oparłam świeżo wypedikiurowane stopy na desce rozdzielczej. Opuściliśmy szyby w oknach i słońce świeciło wprost do samochodu. Gdy Ed nie potrzebował prawej ręki, by prowadzić, kładł ją na moim kolanie.

Domek Aleksa i Sophii był równie nudny jak oni: mnóstwo poduszek w jasnoniebieskich pokrowcach i kupionych w sklepie muszli porozrzucanych, gdzie się da. Był jednak czysty i wygodny, a co ważniejsze, położony o krok od plaży. Po przyjeździe przebrałam się w czarny jednoczęściowy kostium, a Ed założył luźne spodenki khaki, sięgające mu niemal do kolan. Sprawdziwszy błyskawicznie, czy mamy wszystko, czego nam trzeba - mydło, szampon, ręczniki, kawę - zeszedliśmy na plażę i rozlokowaliśmy się na spłowiałym różowym prześcieradle, które przywiozłam z domu. Ed wyjął powieść w miękkiej oprawie i przeczytawszy zaledwie kilka stron zasnął, pochrapując tuż obok mnie. Położyłam się i spróbowałam zdrzemnąć.

Nie mogłam jednak zasnąć. Słońce grzało zbyt mocno, prześcieradło było zbyt małe, a Ed denerwował mnie swoim chrapaniem. Płonęłam z gorąca, uznałam więc, że pora popływać.

Wstałam i podeszłam do wody. Sezon już się oficjalnie zakończył, nie było więc ratowników i nie wolno było się kąpać, lecz nie widziałam nikogo, kto mógłby powstrzymać gromadkę pluskających się na płyciźnie śmiałków.

Odpłynęłam kawalek, wróciłam i odpłynęłam nieco dalej. Woda była tu jeszcze na tyle płytka, że mogłam stanąć. Zamknęłam oczy i przez chwilę rozkoszowałam się chłodem wody i ciepłem słońca. Gdy je otwarłam, spostrzegłam dziewczynkę, na oko pięcio- lub sześciolletnią, pluskającą się o kilka stóp dalej, pomiędzy mną a brzegiem. Nie powinna być w wodzie sama, a co dopiero tak daleko. Zazwyczaj

odprowadziłabym małą na brzeg. Dziś tylko ją obserwowałam. Pluskała się uszcześliwiona, podskakując na niewielkich falach, to zanurzając, to znów wynurzając głowę i pozwalając, by cofające się fale unosiły jej drobne ciało. Skórę barwy gąłki muszkatołowej miała zaczerwienioną na ramionach. Spostrzegła, że się jej przyglądam, i uśmiechnęła się. Odpowiedziałam uśmiechem.

- Nie powinnaś oddalać się od brzegu - powiedziałam. - Tu jest zbyt głęboko.

Dziewczynka wzruszyła tylko ramionami i znowu zanurkowała. Nadeszła niewielka fala i ją uniosła. Zobaczyłam czubek głowy, a potem drobną stopę. Kiedy stanęła wreszcie na nogach i wystawiła głowę ponad wodę, kaszłała, a może nawet trochę popłakiwała. Nic się jej nie stało, lecz widać było, że jest przestraszona.

- Pomogę ci - powiedziałam.

Popłynęłam ku dziewczynce. Lecz nim zdążyłam do niej dotrzeć, fala znów zbiła ją z nóg. Zanurkowałam, chwyciłam małą za włosy, jakbym chciała wydobyć jej głowę ponad powierzchnię.

Nie zrobiłam tego jednak. Zamiast szarpnąć do góry, pchnęłam w dół. Z uczuciem bliskim mdłości czułam, jak z dziecka ucieka życie, a ciepło wysącza się z ciała. Dotychczasowa egzystencja małej, pędzona głównie w zatłoczonym mieszkanku obok torów kolejowych, przewinęła mi się przed oczami niczym film. Tuż przed tym jak utonęła, wyciągnęłam ją na powierzchnię i pozwoliłam zaczerpnąć nieco powietrza, by zaraz znowu wcisnąć jej głowę pod wodę. Spodobała mi się ta gra. W górę, a potem w dół. Dziewczynka nie była jednak głupia i następnym razem, kiedy znalazła się nad wodą, zaczęła krzyczeć. Tłusta kobieta w średnim wieku, pływająca dostojnie wzdłuż brzegu, uniosła głowę i zaczęła się rozglądać. Wepchnęłam więc dziewczynkę pod wodę i zanurzyłam się sama, jakby obie nas porwał prąd, a potem wynurzyłam się, otaczając szyję dziecka ramieniem.

- Chyba się topiła - zawołałam do kobiety, która ruszyła natychmiast ku nam przez wodę. - Proszę mi pomóc.

Silna niewiasta wzięła ode mnie bezwładne ciało dziewczynki i skierowała się ku brzegowi. Popłynęłam za nimi.

Kiedy mała poczuła pod sobą ciepły piasek, zaczęła płakać. Był to dobry znak, świadczył bowiem, że nic poważnego jej się nie stało. Zamieszanie i towarzyszący mu hałas obudziły Edwarda. Wstał i przybiegł ku miejscu, gdzie wokół dziewczynki zgromadził się tłumek plażowiczów. Dziecko usiadło, rozejrzało się dookoła i zwymiotowało słoną wodę - kolejny dobry znak, zgodzili się otaczający je ludzie.

Matka dziewczynki nadbiegła, krzyżąc i płacząc, jak gdyby nie robiła jej gorszych rzeczy w domu. A przecież widziałam.

- Uratowałyście moje dziecko! - Zawołała do kobiety i do mnie. Starsza niewiasta spojrzała na mnie dziwnie, lecz nic nie powiedziała. Mogłam sobie wyobrazić, jak przekonuje samą siebie w duchu, że usiłowałam ratować dziecko, a nie utopić je. To właśnie widziała. Że usiłuję wydostać małą z wody. Dziewczynka nadal była w szoku. Gdyby powiedziała komuś, że usiłowałam ją zabić, nie uratować, nikt by jej nie uwierzył. Byłam tego pewna.

Starsza kobieta podeszła do miejsca, gdzie czekał równie tłusty małżonek. Płacząca matka zabrała płaczące dziecko z powrotem na koc. Edward wziął mnie za rękę i zaprowadził na różowe prześcieradło, gdzie usiadłam i także zaczęłam płakać.

- Cii... - Objął mnie ramionami. - Nikomu nic się nie stało. Musiałaś być przerażona, biedactwo.

Spojrzałam na niebo. Stado ptaków krążyło nad naszymi głowami, to formując szyk o kształcie litery V, to znów go porzucając. Opuszczały kolejno formację, przegrupowując się, aż ustawiły się jeden za drugim, tworząc napis widoczny niczym ślad pióra na papierze.

NAAMA.

\*  
\*       \*  
\*

Kiedy wróciliśmy do domku, Ed wziął samochód i pojechał nad zatokę, kupić coś na obiad. Przywiózł gotowane mięczaki i kukurydzę w kaczanach, którą sam przyrządził. Zapytał, co sądzę o posiłku i czy dobrze się bawię. Mruknęłam dwa razy, co go usatysfakcjonowało.

Po obiedzie położyliśmy się na sofie. Zamierzaliśmy wrócić na plażę, aby obejrzeć zachód słońca, potrzebowałam jednak odpoczynku. Po kilku minutach Ed znowu zasnął. Poszłam do sypialni i wyciągnęłam ukrytą na dnie torby „Encyklopedię demonów”. Z bijącym mocno sercem i uczuciem nieprzyjemnego łaskotania w żołądku przerzucałam strony, aż doszłam do haseł na literę N. Była tam, a jakże - zajmowała aż kilka stron.

NAAMA

*Najbardziej znane opowieści o Naamie wywodzą się z kabały, judaistycznych*

tekstów mistycznych dostępnych niegdyś wyłącznie żydowskim uczonym płci męskiej, którzy skończyli czterdzieści lat. Jej imię miałyby oznaczać w ojczystym języku aramejskim „czarująca” albo „figlarna”, gdyż wydawała się mężczyznom nieodparcie pociągająca. Zważywszy na okultystyczny rodowód kabały, z imieniem Naama mogą wiązać się także inne, nie poznane dotąd znaczenia; uczonych zastanawia przede wszystkim jego rodowód oraz numerologiczne znaczenie. Jak większość istot tego gatunku, wzmacnia ją woda, zwłaszcza słona, pożądanie seksualne oraz inne nieczyste myśli.

Historia Naamy sięga początków czasu. Miała być drugą, po Lilith, żoną Adama. O ile Adam został stworzony z czystej ziemi, Lilith stworzono z nieczystości i osadów, nie była więc dlań odpowiednią żoną.

Adam pragnął, by Lilith była mu powolna, ona jednak odmówiła. Odeszła i zamieszkała nad Morzem Czerwonym, gdzie stała się matką wszystkich demonów. Bóg stworzył więc dla Adama drugą żonę, Naamę, tym razem czyniąc to przed jego oczami i zaczynając od samego początku, by sprostać oczekiwaniom Adama. Zaczął od kości, potem stworzył organy, mięśnie, krew i tak dalej. Nim skończył, Adam był już tak zde gustowany, że nie chciał mieć z Naamą nic do czynienia. Została więc, podobnie jak Lilith, zesłana, by żyć nad brzegami Morza Czerwonego. Według innej opowieści nie wiadomo co prawda, skąd wzięła się Naama, jednakże cel, jaki sobie postawiła, był jasny. Po tym jak Kain zabił Abła, Adam był tak przerażony, że odmawiał sypiania z Ewą przez ponad sto lat. W tym czasie Naama nawiedzała go w nocy i żerując na jego snach, zapładniała się jego nasieniem. Tu leży źródło przekonania Żydów, iż mężczyźni, zwłaszcza rabini i mędrcy, powinni być żonaci - jeśli mąż nie kocha się regularnie z żoną, to co bierze za zwykłą nocną zmasę, może być efektem odwiedzin demona zapładniającego się jego nasieniem. W Księdze Rodzaju (4:22,23) Naama jest córką Lamecha i Sylli - nie demonem, ale człowiekiem. Jednakże, co dziwne, poślubia swego brata, Tubalkaina, a potem rodzi demona - Asmodeusza, znanego po dziś dzień. Stąd bierze się jej reputacja jako dumnej matki o gwałtownym charakterze, której drugim co do ważności celem - poza uwodzeniem - jest eliminowanie dzieci, które wyszły z jej łona. W Księdze Królów (3:16) pojawia się znowu, wraz z Lilith, jako jedna z dwu nierządnic posianych, by wystawić na próbę mądrość Salomona. Udając niewiasty spierające się o to, która jest matką dziecka, próbują sprowokować Salomona, by podjął nierozważną decyzję; zamiast tego Salomon każe przeciąć dziecko na pół, zdając

*sobie sprawę, że prawdziwa matka wolałaby je oddać, niż dopuścić, aby zostało zabite. Demony pokonane wracają tam, skąd przyszły. Jak pozostałe opowieści dotyczące się Salomona, także ten mit wpisuje się w masońską legendę.*

*Poza wymienionymi, w historii judaizmu i chrześcijaństwa spotykamy o wiele więcej przykładów fatalnego wpływu Naamy.*

Następnego ranka powiedziałam Edwardowi, że nie czuję się dobrze - udar słoneczny - i powinnam zostać w domu, gdy on wybierze się na plażę. Gdy tylko wyszedł, wróciłam czym prędzej do lektury „Demonów - wczoraj i dziś”.

*Gdyby przeciętny człowiek wiedział, jakie oznaki zwiastują początki opętania, oszczędziłoby to wielu osobom cierpienia. Najczęściej pierwszym sygnałem, że coś zaczyna się dziać, są dziwne hałasy w domu: drapanie, stukot, odgłos kroków... Gdy demon znajdzie się w ofierze, daje o sobie znać, skłaniając ją do zmiany zachowania. Pojawiają się drobne kradzieże, kłótnie i temu podobne. Zazwyczaj modus operandi polega na tym, aby niepostrzeżenie, z wolna zacieśniać uścisk, zanim ofiara odkryje prawdziwą naturę tego, co się dzieje. W ten sposób demon zabezpiecza się, by nie zostać rozpoznany i egzorcyzmowany, kiedy jego wpływ na ofiarę jest jeszcze słaby.*

*Niestety coraz częściej słyszy się o przypadkach, kiedy wpływ demona jest już tak silny, że ofiara nie jest w stanie poddać się dobrowolnie egzorcyzmom. Szanse na to, by wyrwać taką osobę ze stanu opętania, są niewielkie.*

Ed wrócił z plaży w cudownym nastroju. Chciał, byśmy pojechali do restauracji z owocami morza, którą odkrył poprzedniego dnia nad zatoką.

- Nadal nie czuję się dobrze - powiedziałam. - Wolałabym zostać w łóżku.

- Daj spokój, kochanie - zaprotestował, robiąc nadąsaną minę. - To miały być nasze wakacje.

- Nie chcę - powiedziałam. - Czuję się paskudnie. Ed, myślę, że...

Ed, myślę, że zaczynam tracić rozum, zamierzałam powiedzieć. Sądzę, że mogę być opętana. Lecz nie zdążyłam.

- Chryste! - Przerwał mi zirytowany. - Czy nie potrafimy się już bawić? Nie możemy spędzić przyjemnie choć jednego cholernego weekendu na plaży?

Spochmurniał i zmarszczył brwi. Głos demona wrzasnął w mojej głowie i następne, co odnotowałam, to że krzyczę na Eda:

- To ty chcesz się bawić! S p ó j r z lepiej na mnie!!

- Chciałem tylko...

- Ty chciałeś! Zawsze myślisz tylko o sobie! Nie widzisz, że jestem chora, że dzieje się ze mną coś złego? Jesteś tak cholernie samolubny!!

Teraz stałam już w głowach łóżka. Pochwyciłam spojrzeniem moje odbicie w stojącym na komodzie lustrze. Wymachiwałam ramionami niczym dzikie zwierzę, oczy miałam szeroko otwarte, wargi ciemnoróżowe, a włosy splątane tak bardzo, że przypominały dredy.

Wyglądałam zupełnie jak ona.

Ed zde gustowany stał w drzwiach. Po chwili odwrócił się i wyszedł.

Opadłam na łóżko i zaczęłam szlochać. Sama widzisz, powiedział jedwabście miękki głos w mojej głowie, jak mu na tobie zależy. Oto wielka miłość, z której byłaś tak dumna. Ta, o której myślałaś, że będzie na zawsze.

Edowi nie zakłócały spokoju żadne rozterki. Wrócił późno w nocy, całe godziny po tym jak zaczęłam udawać, że śpię, i padł na sofę nie zaglądając nawet do sypialni, żeby sprawdzić, czy żyję.

Gdy obudziłam się następnego ranka, już nie spał. Pił kawę przy kuchennym stole i wydawał się cokolwiek zakłopotany. Dołączyłam do niego, mając podobne odczucia.

- Hej.

- Cześć.

- Kocham cię.

Powiedział to pierwszy.

- Ja też cię kocham.

Zaczęłam płakać.

- Och, skarbie.

Przysunął krzesło bliżej mojego i objął mnie ramieniem.

- Kochanie, czy nie przyszło ci na myśl... To znaczy, wydajesz się ostatnio taka nieszczęśliwa... Może chodzi o mnie, bo tak to wygląda... Cóż, pomyślałem sobie, że... Może powinnaś poszukać kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać. No wiesz, terapeutę czy kogoś takiego.

Spojrzałam na Edwarda, a kiedy ujrzałam jego zmartwioną twarz, miłość wezbrała w moim brzuchu i rozlała się po całym ciele. Na chwilę uczucie przewyciężyło podstępne myśli demona. Terapeuta! Spodobał mi się ten pomysł. Nie

byłam opętana - byłam szalona! Pójdę do lekarza od czubków, może dam się zamknąć na jakiś czas w szpitalu, było to jednak lepsze od alternatywy. Z zaburzeniami umysłowymi byłabym w stanie sobie poradzić. Mogłam nad nimi pracować, zaakceptować je, a w końcu wyleczyć.

- Masz rację - powiedziałam, uśmiechając się do Eda. - Chyba rzeczywiście wariuję.

- Skąd, skarbie, nie miałem na myśli tego, że wariujesz, ja tylko...

- Nie, wszystko w porządku. Masz rację, jakkolwiek byś to nazwał. Zadzwoń jutro do doktor Flynn i poproszę, by poleciła mi jakiegoś terapeutę.

Ed się uśmiechnął. Ja się uśmiechnęłam. Oto siedzimy sobie w kuchni, mąż i żona, jedno szalone i jedno zdrowe, tak szczęśliwi, jak to tylko możliwe.

Następnego ranka zadzwoniłam od razu do doktor Flynn i nie wdając się w szczegóły powiedziałam, że potrzebuję natychmiastowego kontaktu z psychiatrą. Podała mi numer do przyjaciela, doktora Geralda Fentona, najlepszego, jak mnie zapewniła, psychoterapeuty, jakiego zna.

- Proszę powiedzieć, że to ja panią przysłałam - dodała, zanim się rozłączyła. - Jest bardzo wybredny. Terminy ma zajęte na lata. Koniecznie proszę się na mnie powołać.

Recepcjonistka poinformowała mnie, że doktor będzie mógł przyjąć nowego pacjenta nie wcześniej niż za miesiąc. Niemal się poddałam, gdy przypomniałam sobie magiczne słowa.

- Skierowała mnie do państwa doktor Flynn.

- Cóż, to zupełnie inna sprawa - powiedziała.

- Zobaczymy... Proszę przyjść dzisiaj.

- O której? - Spytałam.

- Obojętne. Nawet teraz, jeśli to pani odpowiada. Pomysł mi się spodobał, więc wyruszyłam od razu.

Gabinet doktora znajdował się w przedwojennej kamienicy położonej w cichej dzielnicy przy parku. Po obramowanych drzewami ulicach spacerowały matki z wózkami. Uśmiechałam się do dzieci, lecz nie odpowiadały uśmiechem. Żadne żywe stworzenie nie patrzyło już na mnie życzliwie - dzieci pochmurniały, psy warczały, koty syczały, nawet wiewiórki umykały w panice. A dorośli - cóż, lepiej nie wspominać. I oto byłam w drodze do gabinetu psychiatry, próbując przekonać samą siebie, że mój problem jest natury psychologicznej.

Kiedy dotarłam na miejsce, odzwierny przywołał młodą, modnie ubraną recepcjonistkę, a ta zaprowadziła mnie do gabinetu. Powiedziano mi, że doktor wkrótce przyjdzie. Pomieszczenie wyglądało tak, jak zawsze wyobrażałam sobie gabinet psychiatry: wykonany z drewna i skóry fotel dla lekarza, kryta skórą kanapa, na której pacjent mógł usiąść lub się położyć, dębowa półka zastawiona książkami z



dziedziny psychiatrii, poprzedzianymi reprodukcjami sztuki prekolumbijskiej, i kilka ustawionych na stojakach afrykańskich masek. Na ścianie przyjemny dla oka sztych botaniczny przedstawiający lawendę. Okno wychodzące na budynek mieszkalny po drugiej stronie ulicy.

Po minucie, a może dwóch, pojawił się doktor, witając mnie uśmiechem na twarzy i serdecznym uściskiem dłoni. Podobnie jak gabinet, on też doskonale odpowiadał moim wyobrażeniom: brodaty, koło czterdziestki, w dwuogniskowych okularach, ubrany z prostotą w beżowy kardigan, białą koszulę i czarne spodnie.

- Doktor Fenton.

- Amanda.

Uśmiechnął się. Ja się uśmiechnęłam. Wpatrywaliśmy się w siebie promiennie uśmiechnięci.

- Zatem, Amando - zagaił po chwili - powiedz mi, dlaczego przysłaś.

Opowiedziałam o moim dziwacznym zachowaniu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, pomijając pewne fakty. Wspomniałam o kłótniach z Edem, o głosie w mojej głowie, o pomieszeniu i nowym nastawieniu do pracy. Opuściłam część o psie. I o tym, jak przypaliłam Eda papierosem. A już szczególnie wystrzegalam się, by nie wspomnieć o incydencie z dziewczynką na plaży. Zdażyłam bowiem przekonać samą siebie, że w ogóle się nie wydarzył. Zgodnie z moim nowym, ukierunkowanym psychiatrycznie postrzeganiem świata były to niepowiązane zbiegi okoliczności, bez związku z tym, z czym przyszłam. Mówiłam, a doktor robił notatki w żółtym kołonorotniku.

- Zatem - powiedział, kiedy skończyłam - w czym problem?

Spojrzałam na niego.

- Słucham?

- Co w tych zmianach tak cię zaniepokoiło?

- Bo to nie jestem ja. To znaczy, oczywiście to jestem ja, nie chodzi o to, że to ktoś inny. Chciałam powiedzieć, że to do mnie niepodobne. Dlatego przyszłam.

- Cóż - powiedział - moim zdaniem wygląda na to, że po prostu stajesz się w pełni sobą. Nie jesteś już dziewczynką, ale dorosłą kobietą i musisz stać się bardziej asertywna.

- Ale bez przerwy kłócę się z mężem - zaprotestowałam. - Walczymy ze sobą przez cały czas.

- Kłótnie - powiedział, obrzucając mnie cokolwiek protekcyjnym

spojrzeniem - stanowią element każdego związku. Walka to część procesu dorastania.

- Lecz ja nie jestem szczęśliwa - powiedziałam. Podstępny głosik w mojej głowie przytakiwał doktorowi. Nie sprzeczasz się, mówił.

- I na tym tak naprawdę polega problem - powiedział doktor. - Może dzieje się tak dlatego, że stawiasz opór, nie pozwalasz sobie dorosnąć i nie jesteś otwarta na zmiany.

- A jeśli ja nie chcę zmieniać się w ten sposób? Jeśli nie podoba mi się to, jaką się staję?

Dorastasz, podpowiadał głos. Stajesz się kimś lepszym.

- Nie można walczyć z czasem - powiedział doktor. - Masz trzydzieści cztery lata, Amando. Zyskujesz własną tożsamość.

- Ale ja przypaliłam męża - wyrzuciłam z siebie.

- To był wypadek - odparł doktor. - Omsknęła ci się ręka. Może Edward nie jest taki, za jakiego go brałaś. Może już czas przewartościować wasz związek.

Nie wspomniałam mu o incydencie z papierosem. Ani o tym, ile mam lat.

- Skąd pan wie? - Spytałam nerwowo.

- Uspokój się, Amando - powiedział. - Doktor Flynn przesłała mi swoje notatki. Mam je tutaj.

Wziął do rąk leżący na stole wypchany skoroszyt.

- Widzisz?

- Nie wspomniałam doktor Flynn o papierosie.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że to zrobiłaś. Jest o tym wzmianka w twojej teczce.

- Proszę mi pokazać.

Wyciągnęłam rękę. Doktor natychmiast się odsunął.

- To poufne - powiedział.

- Nie mówiłam jej o papierosie. Proszę mi pokazać - upierałam się. Serce biło mi jak szalone.

Doktor odsunął się wraz z krzesłem. Wstałam i sięgnęłam po skoroszyt, lecz on chwycił mnie drugą ręką za nadgarstek i przytrzymał. Mocno. Spojrzałam mu w twarz. Żadnego uśmiechu. Ani błyszczących przyjaźnie oczu. Był absolutnie, śmiertelnie poważny. Cofnąłam się, a on rozluźnił uchwyt, nie puszczając jednak mojej ręki, póki nie oddaliłam się od niego na dwa kroki. Chwyciłam leżące na kanapie płaszcz i torebkę i wybiegłam z gabinetu.

\*  
\*        \*

Potem, kiedy spacerowałam po zadrzewionych uliczkach w sąsiedztwie, pomyślałam, że chyba zachowałam się niemądrze. W końcu doktor Flynn mogła powiedzieć mu wszystko, czego nie powiedziałam sama. Nie było powodu przypuszczać, że dzieje się coś niezwykłego. Lecz doktor i tak mi się nie spodobał. Co to za gadka o stawianiu się w pełni sobą? Nie sądził, że wariuje, a skoro nie byłam szalona, musiałam być opętana. Jutro poproszę doktor Flynn, by poleciła mi innego terapeutę, albo - jeszcze lepiej - popytam wśród znajomych.

Przemierzałam park, czując się z lekka zakłopotana. To, że wybiegłam z gabinetu jak dziecko, nie wpłynęło dobrze na moją samoocенę. Co sobie wyobrażałam, że doktor jest kimś w rodzaju kapłana wudu? Lub satanistą? Idiotką ze mnie. Skręciłam w alejkę, która prowadziła do niewielkiego lasu. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że...

Usłyszałam szelest w kępie drzew po lewej. Rozejrzałam się dookoła i spostrzegłam, że jestem pośrodku lasu. W pobliżu nie było nikogo. Nie powinnam się tu znaleźć, lecz było za późno, żeby się wycofać. Pozostało mi jedynie iść dalej. Lecz ledwie ruszyłam, usłyszałam kolejny szelest, tym razem po prawej. A po nim śmiech. Kobięcy śmiech dobiegający z kępy drzew po lewej, a zaraz potem z krzaków po prawej. Przyśpieszyłam kroku, a po chwili zaczęłam biec. Szelest i śmiech podążały za mną. Biegłam, dopóki starczyło mi sił. W końcu musiałam jednak się zatrzymać. Przystanęłam, chwytając gwałtownie oddech. Rozejrzałam się dookoła - wyglądało na to, że w ogóle się nie poruszyłam. Czyżbym biegła w miejscu? Drzewa wokół mnie zatrzęsły konarami i śmiech opadł niczym dojrzały owoc. Hałas był ogłuszający. Poczulałam, że oblewa mnie zimny pot.

- Halo? - Zawołałam. - Halo?

Wiedziałam, kto to. Będę z nią walczyła, przyrzekłam sobie. Znajdę sposób, by ją pokonać, zniszczyć, jeśli będę musiała. Gdy wrócę do domu, powiem o wszystkim Edowi...

Hałas ucichł. Dokoła panował absolutny spokój, jeśli nie liczyć mego przyśpieszonego oddechu. Drzewa wokół stały nieporuszone. Mięśnie płonęły mi żywym ogniem. Ledwie mogłam ustać na nogach.

Poczulałam, że ktoś kładzie mi dłoń na głowie, mierzwi włosy i przesuwając wolnymi palcami po prawym policzku, w dół, a potem do góry. Czyjeś palce wsunęły się w moje

włosy i zaczęły masować skórę na głowie.

Zaczęłam płakać. Dłoń pchnęła mnie w dół tak mocno, że opadłam na kolana, a potem przesunęła się na plecy i pchnęła jeszcze mocniej. Upadłam twarzą na szorstki beton, jęcząc i walcząc o oddech.

- Amando - szepnęła - doprawdy nie sądzę, by Edward musiał o tym wiedzieć.

\*  
\*       \*  
\*

Tego wieczoru, gdy Ed był jeszcze w biurze, zajrzałam znowu do książki o demonach i odszukałam część poświęconą duchowym doradcom. Drugim najbliższym mego miejsca zamieszkania był doktor Ray Thomas, dyrektor i prezes stowarzyszenia Promień Nadziei.

*Położone przy zjeździe numer 12 z Autostrady Północnej numer 55. Skręć w prawo przy pizzerii Domino, a potem rozglądaj się za sklepikiem Wendy - siedziba stowarzyszenia mieści się pomiędzy nim a kawiarenką Coconut, przy Newton Heritage Strip Mail - przeczytałam.*

Następnego ranka pojechałam autostradą nr 55, wybrałam zjazd numer 12 i zaczęłam rozglądać się za sklepikiem Wendy, cokolwiek miało to oznaczać. Siedzibą stowarzyszenia okazał się niski parterowy budynek z cegły, cofnięty mocno od ulicy, z dużym emblematem na trawniku. WITAJCIE, głosił umieszczony pod nim napis. Zaparkowałam przed budynkiem i zapaliłam papierosa, zbierając się na odwagę, by wejść. Dzień był pogodny i grupka nastolatków jeździła na deskorolkach po należącym do stowarzyszenia parkingu. MEGADEATH. METALLICA. ANTHRAX głosiły napisy na ich koszulkach. Zanim wysiadłam z samochodu, obserwowałam przez jakiś czas chłopców, zaciągając się głęboko.

Drzwi do budynku były otwarte. Wewnątrz wyglądało trochę jak w kościele, choć równie dobrze mogłaby to być sala konferencyjna jakiejś korporacji. Rzędy ławek otaczały ołtarz, a może było to podium. Ruszyłam głównym przejściem. Nikogo. Ewidentnie nic tu się nie działo.

- Proszę podejść.

Odwróciłam się gwałtownie. Na drugim końcu przejścia stał mężczyzna równie nijaki jak sama budowla. Rysy miał regularne i całkiem zwyczajne, nie tyle nieatrakcyjne, ile nieszczególnie zapadające w pamięć.

- Przestraszył mnie pan - powiedziałam. Ruszyliśmy ku sobie, by spotkać się pośrodku. - Szukam Raya Thomasa.

- To ja - powiedział, wyciągając dłoń. Ubrany był w zwykły szary garnitur. Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Usiąźmy.

Zajęliśmy miejsca po przeciwnych stronach przejścia.

- Zatem - powiedział głośno, jako że ławy były od siebie na tyle oddalone, iż utrudniało to konwersację - niech zgadnę. Sądzi pani, że jest opętana.

Uśmiechnęłam się i przytaknęłam. Ton jego głosu nadawał wszystkiemu właściwą perspektywę. Zatem sądzi pani, że jest opętana, mówił. Czyż nie przydarza się to nam wszystkim?

- Podejrzewam, że wykonała pani test - mówił dalej. Skinęłam ponownie. - Odpowiedziała „tak” na kilka pytań, poczuła się nieco nawiedzona i teraz sądzi, że wdała się w swego rodzaju zmagania z czymś ponadnaturalnym. - Ostatnie słowa wypowiedział wykonując dłońmi gest sugerujący, że te zmagania to nic innego jak cyrkowe sztuczki, hokus-pokus, wudu.

- Muszę pani powiedzieć, że opublikowanie tego quizu to najgłupsze, co zrobiliśmy. Nie miałem pojęcia, jak wielu ludzi cierpi na zaburzenia umysłowe, dopóki nie zaczęli do nas dzwonić. Nie uważam oczywiście, iż pani też do nich należy - dodał szybko. - Przyniosła pani książkę?

Sięgnęłam do torebki i wyjęłam książkę założoną na stronie, gdzie umieszczono quiz.

- Przyjrzyjmy się... - Powiedział Ray Thomas. Uśmiechaliśmy się do siebie porozumiewawczo i niemal chichotaliśmy. Wziął ode mnie książkę i przeczytał, co zaznaczyłam:

### *Czy zostałeś opętany przez demona?*

*1. Słyszę w mieszkaniu dziwne hałasy, zwłaszcza nocą, a członkowie rodziny mówią, że słyszą je tylko wtedy, gdy jestem w domu. (Tak było.)*

*2. Podjąłem działania i rozrywki, które zdają się do mnie nie pasować, i wykonuję czynności, których wykonywać nie zamierzałem, nie rozumiejąc nawet swoich motywów. (Tak.)*

*3. Stałem się drażliwy i niecierpliwy w stosunkach z bliskimi i przyjaciółmi. (Tak.)*

4. Rozumiem języki, których się nigdy nie uczyłem, i wiem o sprawach, o których nie mógłbym dowiedzieć się zwykłymi sposobami. (Tak.)

5. Miewam luki w pamięci nie spowodowane lekami, alkoholem lub wcześniejszymi kłopotami ze zdrowiem. (Tak.)

6. Prześladowają mnie dziwaczne nowe myśli lub głosy słyszalne tylko dla mnie. (Nieustannie.)

7. Miewam sny lub wizje istot, które mogą być demonami. (Tak.)

8. Medium, duchowny lub inna osoba o rozbudzonej wrażliwości na świat duchowy powiedziała mi, że jestem opętany. (Tak.)

9. Odczuwam pokusę, by ranić albo zabijać zwierzęta i innych ludzi. (Tak.)

10. Zraniłem albo zabiłem zwierzę lub człowieka. (Tak, na pewno zraniłam, a może i zabiłam.)

Ray Thomas już się nie uśmiechał. Powiedziałabym nawet, że zdecydowanie spochmurniał.

- Jak pani na imię? - Zapytał.

- Amanda - odparłam.

- Amando, sądząc po tym, co tu widzimy, prawdopodobieństwo, że jesteś niepokocona przez niepożądaną obecność wynosi dziewięćdziesiąt do stu procent. A już z pewnością nie ulega kwestii, że jakaś istota próbuje wywrzeć na ciebie wpływ. Co sądzisz o tym, by się jej pozbyć?

- Pozbyć się?

- Nie używamy tutaj tego słowa na „e” - powiedział Ray Thomas. - Nasuwa ludziom zbyt wiele skojarzeń. Pozbycie się to prosty proces wizualizacji, oddzielenia i uzdrowienia. Najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

- Czy to działa? - Spytałam.

Ray Thomas uśmiechnął się znowu i skinął głową.

- Tu, w Promieniu Nadziei, szcycimy się tym, że osiągamy ponad dziewięćdziesięcioprocentową skuteczność.

- A pozostałe dziesięć procent?

- Siedem. Proszę, nie zaprzataj sobie tym głowy.

\*  
\*       \*

Zaprowadził mnie do biura, gdzie podpisałam oświadczenie, jakoby procedura,

której miałam się poddać, służyła jedynie celom rozrywkowym. Potem weszliśmy do niewielkiego pokoju za ołtarzem, oświetlonego lampami fluorescencyjnymi. Znajdowało się tam łóżko z białymi prześcieradłami i niebieską kołdrą, a pod przeciwległą ścianą stalowe biurko z wyściełanym krzesłem na kółkach. Polecił mi, bym położyła się na łóżku. Sam usiadł na krześle, a potem pociągnął za łańcuszek i zgasił górne światło.

- Zaczniemy od tego, byś wyobraziła sobie czystą, pustą przestrzeń. Potrafisz wyobrazić sobie czystą, pustą przestrzeń, Amando?

- Pewnie - odparłam. Wbiłam wzrok w sufit i pomyślałam o pustym białym pokoju. Pokój miał wysokie okna z przejrzystymi białymi zasłonami wydymającymi się w podmuchach ciepłego letniego wiatru.

- Wizualizujemy z zamkniętymi oczami - powiedział Ray.

- Ach tak.

Zamknęłam oczy i biały pokój stał się wyraźniejszy.

- Znajdujesz się w czystej, pustej przestrzeni - mówił tymczasem Ray. - Jesteś odprężona i głęboko oddychasz.

Leżałam na puchowym materacu na podłodze białego pokoju, ubrana w białą piżamę. Przez zasłony przenikał słoneczny blask. W pokoju pachniało kwiatami i miodem. Czułam się bardzo odprężona.

- Jesteś absolutnie bezpieczna, spokojna i jest ci wygodnie. Nic nie może sprawić ci bólu, dopóki przebywasz w swej przestrzeni. Nie ma się czego bać.

Poczułam się umiarkowanie spokojna i stosunkowo bezpieczna.

- Teraz wyobraź sobie tę niepożądaną obecność. Pamiętaj, że przebywasz w swej bezpiecznej przystani, a obca istota jest tam jedynie gościem. To ty sprawujesz kontrolę. On czy ona nie może zrobić ci krzywdy.

Wstałam z puchowego łoża. Ktoś był ze mną w pokoju. Obróciłam się. Naama kuciała na podłodze obok wezgłowia.

- Pamiętaj, że to ty sprawujesz kontrolę. To twoja przestrzeń i to ty panujesz nad sytuacją.

Naama parsknęła śmiechem i pomknęła, by schować się w kącie pokoju, gdzie natychmiast zapanowała ciemność. Nie widziałam jej, wiedziałam jednak, że tam jest, ukryta w cieniu. Rozejrzałam się po pokoju. Wszystkie kąty były już ciemne. Mogła być w każdym z nich.

- Teraz wyobraź sobie, że łączy was cienki srebrny sznur.

Poczułam w brzuchu szarpnięcie, a potem coś jakby skurcze. Spojrzałam w dół i zobaczyłam gruby czarny sznur, wilgotny i tłusty. Wychodził spod mojej piżamy i znikał w odległym kącie pokoju.

- Masz w dłoni nożyczki. Są bardzo ostre i możesz nimi przeciąć, co tylko zechcesz.

Spojrzałam na swoją dłoń. Trzymałam w niej tępy, stary nóż do mięsa.

- Przecinasz nożyczkami sznur łączący cię z niepożądaną istotą.

Próbowałam przeciąć nożem sznur, lecz stało się coś wręcz przeciwnego - to sznur unicestwił nóż. Ostrze stawało się coraz mniejsze i mniejsze, aż znikło zupełnie i oto trzymałam w dłoni jedynie plastikową rączkę. W miejscu gdzie próbowałam go przeciąć, sznur był nabrzmiały i gorący.

- Teraz sznur jest już przecięty. Chcę, byś zobaczyła, że jest przecięty, a ty uwolniłaś się od niepożądanego obecności obcej istoty.

Naama wyskoczyła z kąta wprost na mnie. Serce niemal stanęło mi w piersi. Ciemność wypełzała z kątów, gęstniejąc stopniowo. Po chwili oświetlony był już jedynie środek pokoju, a i to ledwo ledwo. Wszystko zasnuwał posepny, szary mrok. Spostrzegłam, i wcale mnie to nie zaskoczyło, że drugi koniec sznura znika w jej pępku. Opadał i ciągnął się między nami po podłodze.

- Pozostań w swojej czystej, pustej przestrzeni. Poczuj, jak dobrze jest być wolnym. Uświadom sobie, że w miejscu, które zajmował wewnątrz ciebie intruz, jest teraz przestrzeń. Wypełnimy tę przestrzeń uzdrowicielską mocą.

Byłam pełna krwi. Wypływała mi z gardła i ściekała po brodzie. Skapywała na podłogę i rozlewała się po pokoju. Wszystko dokoła nią cuchnęło.

- Teraz przepelnia cię białe światło uzdrowienia. Jesteś silna, niezależna i możesz przebaczyć intruzowi. Możesz przesłać mu miłość i wybaczenie, wysłać je w kierunku białego światła.

Naama pchnęła mnie na podłogę ciemnego pokoju, śliską teraz od krwi, i dosiadła okrakiem.

- Czy mi wybaczasz? - Spytała.

- A teraz się budzimy. Opuszczamy bezpieczne, spokojne miejsce i wracamy do siedziby Promienia Nadziei.

Otwarłam szeroko oczy i zobaczyłam stojącego nade mną Raya Thomasa.

- I jak się mamy, Amando? Czujemy się lepiej?

- O, tak - odparłam bezwiednie, choć wcale tego nie chciałam. Głos też nie



należał do mnie. - Jestem teraz znacznie bardziej wolna. To było doprawdy pouczające doświadczenie.

\*  
\*       \*

Demon wypisał czek na 250 dolarów, wsiadł do samochodu i ruszył z powrotem do miasta. Po drodze, w pobliżu lotniska, wstąpił do mijanego hotelu i odzyskał pieniądze uprawiając seks z przypadkowo poznanym biznesmenem w toalecie baru.

\*  
\*       \*

Nazajutrz przypadał termin ostatniego zastrzyku przeciwko wściekliznie. Gdy tylko weszłam do gabinetu, doktor Flynn zapytała:

- I jak się udał pobyt na plaży?

Nie mówiłam jej, że wyjeżdżamy. Lepiej dmuchać na zimne, myślałam. Nikomu nie mogłam ufać.

- Zaleciła mi pani - powiedziałam zamiast odpowiedzi - bym jadła więcej soli.

W nowej książce, którą sobie sprawiłam, wyczytałam, że sól wzmacnia moc demona.

- Tak - odparła z uśmiechem. - I co, podziałało?

- Nie wiem - odparłam. - A jak miałyby się to objawić?

Zignorowała moje pytanie i nie przestając się uśmiechać, wbiła mi igłę w ramię.

- A co z doktorem Fentonem? - Spytała. - Okazał się pomocny?

- Idź do diabła! - Rzuciłam, po czym zeskoczyłam ze stołu i wyszłam, pozostawiając uśmiechającą się z zadowoleniem lekarzkę.

\*  
\*       \*

Kiedy czekałam na pociąg, który miał zawieźć mnie do domu, spostrzegłam po prawej stronie ruch, szybki jak mgnienie oka. Pomyślałam, że cierpię na przywidzenia. Jednakże po chwili ruch się powtórzył. Coś przemykało zygzakiem to tu, to tam, połyskując bielą. Teraz byłam już pewna, że mam przywidzenia. Inni zdawali się niczego nie widzieć. Lecz potem z nicości poza mną wyłoniła się mała biała dłoń i wytrąciła mi z rąk książkę, którą czytałam: „Demon i ty”. Książka upadła na tory, a ja poczułam na twarzy dotyk jej policzka i zobaczyłam opadający na moje ramię wachlarz czarnych włosów.

- Dlaczego aż tak to utrudniasz, Amando?

\*  
\*       \*

Oznajmiłam Edowi, że doktor Fenton nie przypadł mi do gustu, lecz znajdę wkrótce innego terapeutę. Siedzieliśmy akurat przy śniadaniu. Ed czytał gazetę.

- W porządku - odparł. Skinął głową i wrócił czym prędzej do lektury. Tylko tyle dla niego znaczysz, powiedziała, żadnych uścisków, pocałunków, pytań, jedynie spojrzenie znad gazety.

\*  
\*       \*

Od tej chwili wszystko zaczęło przyspieszać. Karty kredytowe napływały pocztą, czasami po dwie lub trzy na dzień. I to nie zwykły chłam, jaki dostajesz niczym wirusa, chociaż o niego nie prosisz, lecz złote i platynowe karty z wysokim limitem, których dotąd zawsze mi odmawiano. Kiedy sprowadziłam się po raz pierwszy do miasta, byłam zaledwie nastolatką i nawet nie miałam konta w banku, dlatego nauczenie się, jak zarządzać pieniędzmi, wymagało kilku lat doświadczeń i wielu błędów. Teraz radziłam sobie znakomicie, ale opinia osoby nieodpowiedzialnej ciągnęła się za mną i najlepsze, na co mogłam liczyć, to wysoko oprocentowana karta z ledwie tysiąc dolarowym limitem. Przynajmniej do teraz. Choć nie przypominałam sobie, bym wypełniała formularze - nie mówiąc już o tym, że nie widziałam powodu, by moje podania miały zostać nagle uwzględnione - karty i tak napływały.

Posługiwanie się nimi nie wymagało fatygi, poza tym cieszyłam się, że je mam. Niepokojące było tylko to, że ona też się nimi posługiwała. Uwielbiała kupować. Nowe przedmioty pojawiały się w mojej szafie co dnia. Były to rzeczy, których nie wybrałabym dla siebie, ale też i nie takie, które zdecydowanie bym odrzuciła. Perfumy (lubiła ciężkie kwiatowe zapachy), nowy nepalski dywan do sypialni, pantofle z krokodyla i torebka z aligatora. Kupując w ten sposób, szybko przekroczyłam limit na nowych kartach. Lecz wciąż pojawiały się kolejne.

\*  
\*       \*

Tym czego pragnęła przede wszystkim, bardziej nawet niż kupowania i papierosów, byli mężczyźni. Ci, których pożądała, nie byli tymi, których wybrałabym dla siebie. Zawsze szukałam mężczyzn o miłych, sympatycznych twarzach. Mężczyzn z

miękkimi rzesami, którzy odwracali wzrok i udawali, że są zajęci, gdy przyłapałaś ich na tym, że ci się przyglądają. Mężczyzn, którzy nie majstrowali przy obrączkach. Naama oczywiście lubiła facetów zastawiających obrączki w lombardzie. Mężczyzn, którzy ściągną wzrokiem twoje spojrzenie i przytrzymują je - a potem puszczaają do ciebie oko. Rzecz jasna widywałam ich dopiero po tym, jak zaspokojona Naama odchodziła, a ja odzyskiwałam świadomość, kuląc się naga i drżąca obok mężczyzny, którego nie znałam.

Nie wahała się także zaczepiać takich, na jakich wcale nie miała ochoty. Czekałam na pociąg, wracając z domu Fitzgeraldów. Było trochę zbyt późno, by sterczeć samotnie na pustym peronie. Poza mną znajdowała się tam jeszcze tylko jedna osoba, mężczyzna. Od razu mi się nie spodobał. Miał nie taki jak trzeba wyraz twarzy, wąsy i nie takie ubranie - poplamione spodnie i niemodną od dziesięciu lat marynarkę. Zbliżał się do mnie. Miałam ochotę odwrócić się i odejść, wrócić do budki i zadzwonić po taksówkę, lecz nie zrobiłam tego. Przeciwnie, ruszyłam ku mężczyźnie i spotkałam się z nim w połowie drogi.

- Uciekł panu pociąg? - Dobiegł mnie własny głos. Wzdrygnęłam się. Nie mogłam uwierzyć, że wdaję się z tym typem w rozmowę. Z bliska wydawał się wręcz odrażający. Miał dziobatą cerę o popękanych naczyńkach i szopę dawno nie strzyżonych włosów. - To okropne, prawda? - Mówiłam dalej. - Zwłaszcza wieczorem, kiedy czekasz na pociąg, a ktoś jest z tobą na peronie. I nigdy nie wiadomo. To znaczy, w mieście nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia. Może mieć nóż, pistolet, cokolwiek. Może, bo ja wiem, być osobą, która nienawidzi mężczyzn włóczących się po dworcach i wypatrujących samotnych kobiet. Taką, która bierze mężczyznę i wyrywa mu jego pieprzone członki gołymi rękami jeden po drugim.

Mężczyzna odszedł bez słowa, a ja wróciłam bezpiecznie do domu.

W październiku Ed zaczął nalegać, byśmy zaprosili Aleksa i Sopię na kolację - w podziękowaniu za cudowny weekend na plaży. Skoro już mowa o Sopi, muszę wam powiedzieć, że w ciągu sześciu lat znajomości nigdy, ani razu, nie udało mi się zobaczyć podeszew jej stóp. Kiedyś wprawdzie spędziliśmy z nimi tydzień w domku na plaży, lecz ona zawsze co rano wsuwała satynowe klapki na koturnach. Po chybotającym się pomoście paradowała w chodakach na wysokich obcasach i nawet do pływania zakładała tanie plastikowe sandały. W tygodniu zawsze nosiła czarny kostium i czarne buty na wysokich obcasach - sandały z paseczków latem, lekkie pantofelki wiosną oraz jesienią i obcisłe kozaczki zimą. Kolejna rzecz, która wiele mówi o Sophie: farbowała włosy (wiedziałam o tym, gdyż zachowywały niezmiennie ten sam odcień dzieciennego blondu), lecz ani razu nie udało mi się zobaczyć, jakiego w rzeczywistości są koloru. Nie miała odrostów: ani przy skórze, ani na przedziałku, ani powyżej karku. Przez cały ten czas jej waga nie zmieniła się nawet o funt, a na nieskazitelnej skórze nie sposób było doszukać się zmarszczki, krostki czy choćby rozszerzonego pora. Nie zdarzyło mi się też zauważyć, aby choć raz kichnęła, pierdnęła lub czknęła - chociaż gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że czasami z gardła tej chodzącej doskonałości dobywał się suchy kaszel. Nie byłam w stanie jej znieść.

A teraz coś na temat Aleksa. Po sześciu latach znajomości nadal nie wiedziałam o nim nic, co nie tyczyłoby się jego zawodowej kariery albo owoców tejże - domku na plaży, samochodów, prywatnych szkół Claire. Nie miałam pojęcia, jakie odebrał wykształcenie, jaki jest jego ulubiony kolor, jakie książki, filmy czy muzykę kocha lub nienawidzi. Byłam jednak aż nadto świadoma, że został wiceprezesem, nie ukończywszy nawet czterdziestu lat, że trzydzieści procent jego rentierskich dochodów pochodzi z giełdy, a pozostała część z długoterminowych obligacji i obrotu nieruchomościami itede.

Ed i ja zawarliśmy bezgłośny pakt, by robić podczas tej wizyty dobrą minę do złej gry i nie wspominać o naszych problemach. I może nawet by się udało, gdyby

Edowi nie wpadło nie wiadomo skąd do głowy, że to ja ugotuję kolację. Nic dziwnego, że kiedy wrócił o szóstej do domu i przekonał się, że nic nie przygotowałam, aż nim zatrzęsło.

- Nie rozumiem - wrzeszczał - jak to nie przygotowałaś nic do jedzenia?! Za godzinę przychodzą goście, a w domu nie ma nawet pudełka pieprzonego ryżu? Co mam im, u diabła, podać? Płatki i lody?

- Jedną chwileczkę, Ed - odparłam. - Chcesz powiedzieć, że ty niczego nie przygotowałaś, ty nie masz nawet pudełka ryżu i to t w o i goście przychodzą za godzinę. I nie myśl sobie, że oddam im moje lody.

Po raz pierwszy nie byłam w stanie ocenić, która z nas mówi, ja czy Naama.

Godzina to mnóstwo czasu, by coś wykombinować, pod warunkiem, że nie zmarnuje się jej na kłótnię, co właśnie zrobiliśmy, nic dziwnego więc, że kiedy goście przyszli - uskarżając się jak zawsze na to, że tak trudno znaleźć nasz dom - nie mieliśmy niczego, co można byłoby podać. Ed wyznał skruszony (podkreślając skruchę odrażająco przypocholebnym śmieszkiem), że nastąpiło pewne nieporozumienie w kwestii kolacji i będzie musiał wyskoczyć na chwilę i coś przynieść. Co do mnie, nawet nie pofatygowałam się udawać rozbawienia. Siedziałam naburmuszona przy kuchennym stole, przysłuchując się paplaninie Eda. Alex, jak przystało na dobrego kumpla, postanowił mu towarzyszyć w wyprawie do sklepu.

Sophia i ja zostałyśmy pozostawione samym sobie. Zasiadłyśmy przy stole, na którym stała jedynie butelka białego wina, i zapaliłyśmy papierosy - pierwsza linia obrony przeciwko ciszy i nudzie.

- Co nowego? - Spytałam.

- Niewiele - odparła. - Przenosimy firmę.

- Dokąd?

- Na drugi koniec miasta. Okropnie uciążliwa sprawa. Bez przerwy coś ginie, dokumenty i takie tam.

- Przeprowadzki to nuda.

- Taaa.

Paliliśmy, popijając wino. Spojrzałam na Sophię i zauważyłam, że dziwnie mi się przygląda.

- Co się zmieniło? - Spytała.

- Co masz na myśli?

- Jesteś jakaś inna. Przytyłaś parę funtów? Dobrze ci z tym. Wyglądasz

zdrowiej.

- Nie, nie sędzę.

Oczywiście doskonale wiedziałam, o czym Sophie mówi.

- Hm. Coś jest jednak inaczej.

Siedziała w niedbałej, typowej dla biznesmena pozie, z szeroko rozstawionymi nogami, trzymając w jednej dłoni papieros, a w drugiej kieliszek. Nagle odłożyła papierosa, wyprostowała się, usiadła jak zakonnica, z przyciśniętymi do siebie kolanami, i popatrzyła wprost na mnie. Pomyślałam, że chyba coś ją zdenerwowało. Kątem oka zauważyłam, że ktoś przemyka z sypialni do łazienki. Fakt, że jest ze mną Naama, wydał mi się tym razem dziwnie podnoszący na duchu.

- Chyba wiem, co to takiego - powiedziała, nie zmieniając sztywnej pozycji.

- O czym ty mówisz?

Skubałam z nudów etykietkę na butelce. Podniosłam wzrok, spojrzałam na Sophie i - och, co zobaczyłam! Jej policzki wydeły się tak, jakby nabrała w usta powietrza. Oczy otwierały się wciąż szerzej i szerzej, aż niemal wypadły z oczodołów. Jej wargi, pełne teraz i pulsujące krwią, rozwarły się, ukazując czarne zęby, które rozpadły się na moich oczach, pozostawiając małe spiczaste pieńki.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze i pisnąwszy cicho, zerwałam się z krzesła, przewracając butelkę z winem. Odgłos uderzającego o drewniany blat szkła sprawił, że skierowałam spojrzenie na stół, a gdy przeniosłam je znowu na znowu na Sophie, wyglądała normalnie. Tyle że się śmiała.

- Miałam na myśli jedynie to - powiedziała - że doskonale wyglądasz.

Wpatrywałam się w nią, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Nie bądź niemądra - powiedziała, przewracając oczami. - Jesteś przerażona. Odpręż się. Wkrótce będziesz miała świat u stóp.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, nadal nie będąc w stanie się odezwać. Pociemniało mi przed oczami. Czulałam, że znikam, a demon przejmuje władzę nad moim ciałem. Lecz nim to się stało, usłyszałam, że ktoś manipuluje przy drzwiach kluczami. Ed i Alex wrócili, wnosząc dwie torby japońskiego jedzenia i śmiech starych przyjaciół. Naama umknęła z powrotem w cień i reszta wieczoru minęła bez incydentów.

\*  
\*       \*  
\*

Ta straszna rzecz z Sophią stała się tak szybko, że następnego dnia nie byłam

wcale pewna, czy sobie tego nie wyobraziłam. Niczemu nie mogłam dawać wiary. Niczego zakładać.

Nie wyciągnęłam więc wniosków z tego, co się wydarzyło. Lecz tydzień później miało miejsce kolejne przerażające spotkanie: miałam właśnie wsiąść do taksówki, gdy młoda rudowłosa kobieta, która pojawiła się nie wiadomo skąd, minęła mnie, wsiadła jakby nigdy nic do samochodu i zatrzasnęła drzwi, które dla siebie przytrzymałam. Wpatrywałam się w nią zaskoczona przez zalaną deszczem szybę, w której odbijały się miejskie światła. Spojrzała na mnie, roześmiała się i wywróciła oczy, ukazując czarne połyskujące dziury między powiekami.

Wkrótce potem, w trakcie spotkania z nowym klientem Fieldsa&Carminem, pochylałam się i wsunęłam głowę pod stół, by podnieść upuszczony ołówek. I oto pod blatem, o dwa miejsca ode mnie, zobaczyłam odwróconą do góry nogami twarz nowego klienta, który też się pochylił, najwidoczniej po to, by podnieść pióro. Pochwycił moje spojrzenie. Uśmiechnęłam się szeroko i zamierzałam wyprostować, gdy demon powstrzymał mnie, chwytając tak mocno, jak spojrzenie mężczyzny podchwyciło moje.

Klient uśmiechnął się szeroko, a potem jeszcze szerzej, rozciągając wargi niemal na szerokość twarzy. Uniósł brwi, aż utworzyły na czole dwa wysoko umieszczone daszki, co upodobiło go do klauna. Znam cię, powiedział. Z jego gardła nie dobył się co prawda żaden dźwięk, lecz słowa, wypowiedziane głębkim barytonem, rozbrzmiały wyraźnie w mojej głowie.

Było więcej takich incydentów - dziwne spojrzenie w kolejce do bankowego okienka, mignięcie wykrzywionej grymasem twarzy po drugiej stronie ulicy - lecz żaden tak wyraźny jak ten z Sophią. Nie dowiedziałam się z nich niczego poza tym, że są inni, a ja mam wątpliwe szczęście ich dostrzegać. Naama niespecjalnie się nimi interesowała, podobnie jak ja. Teraz najbardziej szokujące wydawało mi się nie to, że jest więcej istot takich jak ona i ja ani że jej zdolność manipulowania mną gwałtownie rośnie - dziwiło mnie raczej to, że byłam dotąd tak głupia, by sądzić, że rozumiem cokolwiek z tego, co dzieje się we wszechświecie.

Wróciłam do siostry Marii, lecz nie wpuściła mnie za próg. Gdy zobaczyła, kto stoi za drzwiami, wybiegła na ulicę, by mnie zatrzymać.

- O, nie - powiedziała. - Mam tu dzieci, mieszkamy z tyłu za sklepem. Nie mogę pozwolić pani wejść, nie teraz.

- Dlaczego? Co takiego zrobiłam?

- Amando, ja ją widzę. Jest silniejsza niż kiedykolwiek. Lepiej stąd idź. Już raz próbowałam ci pomóc.

Rozpłakałam się.

- Co mam robić? - Spytałam błagalnie.

- Zaczekaj.

Wróciła do sklepu, zamykając za sobą drzwi. Po chwili wyszła, niosąc kolejną butelkę podobną do tej, jaką dała mi wcześniej. NUMER 17, ODPEŁDZANIE DEMONA, SUPERMOCNY OLEJEK - głosił napis na etykiecie.

- Tylko tym razem go użyj - powiedziała, wsuwając butelkę do brązowej papierowej torby. - Jest tu też książka, która może ci się przydać. „Opętanie” K. L. Walkera. A teraz już idź!

\*  
\*       \*  
\*

Odeszłam, potykając się o własne stopy. Kiedy znalazłam się na szczególnie opustoszałej uliczce upstrzonej wrakami spalonych samochodów i starymi materacami, zatrzymałam się i otwierałam torbę, którą dała mi Maria. Odkorkowałam butelkę, uniosłam ją nad głowę i nalałam sobie na czubek trochę olejku.

Jak na dany znak szare niebo rozstało się i na ziemię spadły pierwsze grube krople deszczu. Zamknęłam oczy i nadal polewałam płynem głowę. Tym razem pachniał anyżkiem, piżmem i żeń-szeniem. Błyskawica przeszła niebo. Dojrzałam jej oślepiająco biały blask przez zamknięte powieki. Skóra paliła mnie w miejscu, gdzie ściekł na nią płyn. Otwierałam oczy, spojrzałam na brudną miejską ulicę i usłyszałam śmiech. A potem ja także zaczęłam się śmiać, lub raczej to ona śmiała się poprzez



mnie. Osunęłam się na brudny beton, tarzając się ze śmiechu pośród wczorajszych gazet i zużytych kondomów. Upuściłam butelkę. Rozbiła się, a zawartość rozlała po betonie. Wiłam się w rynsztoku, mokra od deszczu i krwi ze skaleczeń powstałych za sprawą szorstkiego betonu i odłamków szkła. Kąciki ust zaczęły mnie boleć, a potem pękły i pokryły się krwią, a ja nadal się śmiałam.

- Amando - powiedziała wśród śmiechu, naszego śmiechu - naprawdę sądziłaś, że to zadziała?

Za wszelką cenę starałam się dotrzeć do książki, którą poleciła mi Maria, „Opętania” K. L. Walkera. Nie było jej w żadnej bibliotece, żadnej księgarni. Zaginęła albo została wyprzedana. Pewnego popołudnia ocknęłam się po kolejnym zaniku świadomości, siedząc na podłodze przed kominkiem. Spoczywałam z nogami ułożonymi po jednej stronie i twarzą pochyloną w stronę paleniska, czysta i skromna niczym dziewczę ze starego sztychu Curriera i Ivesa. W kominku płonął ogień, a kiedy udało mi się skupić na nim wzrok, spostrzegłam dopalający się stos książek. Zerwałam się najszybciej jak mogłam i popędziłam do kuchni po wodę.

Zalałam ogień i wyciągnęłam to, co zostało z książek - pięciu egzemplarzy „Opętania” zniszczonych tak, że ledwie zdołałam odszyfrować tytuł. Dałam sobie spokój z „Opętaniami” i wyszukałam inną książkę, która wydawała się równie obiecująca - „Współczesną wojnę z demonami” - lecz wytrąciła mi ją znowu z rąk. Kupiłam „Jak uchronić się przed złem”, lecz znikła gdzieś pomiędzy księgarnią a poddaszem. Włożyłam ją do torby przy kasie, lecz kiedy dotarłam do domu, już jej tam nie było. Wkrótce przekonałam się, że nie jestem w stanie wejść do księgarni; wyruszałam kierowana najszczerzym zamiarem, ale przed drzwiami zatrzymywałam się i odchodziłam. Zwykle kończyło się to tak, że kupowałam lody u ulicznego sprzedawcy lub kradłam w drogerii kolejną szminkę. To samo zdarzało się, gdy chciałam wejść do kościoła, synagogi czy choćby Stowarzyszenia Kultury Etycznej, czego spróbowałam zdesperowana pewnego pięknego jesiennego popołudnia. Nawet gdyby jakimś cudem udało mi się zadzwonić do terapeuty i umówić wizytę, i tak bym nie poszła. Byłam pewna, że nikomu nie mogę już ufać.

Toczyłam bitwę samotnie i błyskawicznie, bezapelacyjnie, bez cienia wątpliwości przegrywałam.

Wkrótce nie miałam już ani chwili dla siebie. Jeśli nie była we mnie, widziałam, jak pomyka dookoła, zaglądając mi przez ramię, gotowa mną zawładnąć, jeśli uzna to za stosowne. W mieszkaniu widywałam kątem oka lok brudnych czarnych włosów lub kryjącą się w cieniu białą stopę. W biurze pochwytywałam obraz jej dłoni z długimi niepolerowanymi paznokciami, bazgrzącej po moich projektach.

Luki w świadomości stały się czymś zwykłym. Dziesięć minut, kiedy wracałam z pracy do domu, godzina, potem dwie lub trzy, a wreszcie całe dni.

Urodziny Eda nadeszły i minęły, a ja nie zapamiętałam z nich nawet minuty. Sprawy nie poszły jednak widać dobrze, gdyż następnego dnia w ogóle się do mnie nie odzywał.

Przez większość czasu lawirowałam pomiędzy dwoma ekstremami. Zaczynałam na przykład myśleć: „Naprawdę powinnam pozwolić, by ta osoba stanęła w kolejce przede mną” - ona zaś kończyła: „ale dlaczego właściwie?” Lub ona zaczynała: „Nie pójdziemy dzisiaj do pracy. Zamiast tego raczej się wystroimy i wrócimy do tego baru, gdzie barman ma takie umięśnione nogi”. Mogłam krzyczeć, płakać, błagać i walczyć na wszelkie sposoby, jakie byłam w stanie wymyślić, lecz ona i tak wygrywała. Była silniejsza, więc zawsze wygrywała.

Umiejętności pozazmysłowego postrzegania, które z początku wydawały mi się jedynie salonową sztuczką, stały się wręcz trudne do zniesienia. W pierwszych dniach listopada znalazłam się raz sama w domu Fitzgeraldów, sprawdzając pomiar ściany, przy której miała stanąć szafa. Byłam na drugim piętrze, zajęta mierzeniem, kiedy zauważyłam na tynku ciemnobrązową plamę, duży rozbryzg otoczony mgiełką drobniejszych kropelek. Wyglądało to na krew. Próbowałam ominąć ślady, lecz kiedy manipulowałam taśmą, przesunęłam po nich niechcący kantem dłoni. Sucha skóra na boku, tuż pod małym palcem, musnęła leciutko najmniejszy ciemny punkcik.

Gdy moja dłoń zetknęła się z zimną ścianą, świat się zatrzymał. Wszystko stanęło i zostało zastąpione przez inną rzeczywistość. Znajdowałam się w tym samym pokoju, zarzuconym teraz tanimi, spłowiałymi ubraniami. Gorące powietrze cuchnęło brudną bielizną i niedopałkami papierosów. Było lato.

Nie słyszałam żadnych odgłosów poza pochrząkiwaniami i ciężkimi stąpnięciami dwóch mężczyzn zmagających się ze sobą w wyrównanej na oko walce. Mieli zbliżoną budowę i wzrost i byli do siebie podobni: czarnoskórzy, średniej tuszy, ubrani w tanie spodnie i przesiąknięte potem koszule o szerokich kołnierzykach. Nie widziałam dobrze ich twarzy, lecz od tyłu wyglądali bardzo podobnie. Mogli być braćmi.

Mężczyzna bliżej mnie trzymał coś błyszczącego. Skupiłam wzrok na jego dłoni i moje spojrzenie przybliżyło ją, niczym zoom w kamerze. Zobaczyłam niewielki nóż, otwarty scyzoryk z czarnym rzeźbionym trzonkiem. Szybkim jak błyskawica ruchem oswobodził prawe ramię, odwiódł je i ugodził brata z boku w szyję. Umierający mężczyzna osunął się po ścianie, a jego krew trysnęła na tynk, rozbryzgując się aż do miejsca, którego dotknęła moja dłoń...

A potem wszystko się skończyło. Byłam znów sama w pustym cichym pokoju. Zaskomlałam cichutko, wybiegłam z budynku, wsiadłam do samochodu i odjechałam najszybciej, jak tylko byłam w stanie.

Lecz na tym się nie skończyło. Chińska toaletka, którą tak lubiłam, musiała

zniknąć z domu. Za każdym razem kiedy jej dotykałam, przenikało mnie uczucie dojmującego smutku, pozostawione przez poprzedniego właściciela. Był żalonym człowieczkiem, handlarzem antyków mieszkającym samotnie za sklepem, a jego głównym zajęciem było kupowanie i czytanie pornografii. Przehandlowałam toaletkę za zwyczajny mebel, z którym nie wiązały się żadne odczucia, jedynie ogólne skojarzenia z masową produkcją. Żółta sukienka ze sklepu z używaną odzieżą, którą zakładałam tylko na szczególne okazje, teraz przypominała mi o nudności - jej poprzednia właścicielka była alkoholiczką i gdy ją nosiłam, czułam, jak moja wątroba twardnieje, zdjęta marskością.

\*  
\*       \*

Pierwszego grudnia wybrałam się kupić Edowi prezent pod choinkę. Przez całe lato rozpływał się nad srebrną solniczką ze sklepu o groteskowo zawyżonych cenach i chciałam sprawdzić, czy bibelot jeszcze tam jest, nim kupię mężowi kolejny niebieski sweter.

To zadziwiające, jak szybko nasz związek się rozpadał. Od weekendu na plaży nawet chwile spokoju przenikały podskórny gniew i uraza. Nie śmialiśmy się już razem, oglądając kiepskie filmy. Nie używaliśmy pieszczotliwych zdrobnień ani własnego sekretnego języka. Kiedy zdarzyło nam się spędzać razem czas, zachowywaliśmy się bardzo formalnie.

- Wybierasz się do sklepu?
- Taa. Mam ci coś kupić?
- Mogłabyś wziąć dla mnie trochę soku pomarańczowego? Tego...
- Taa, wiem. Jasne.
- Dzięki.
- Nie ma sprawy.

Szłam cichą, wysadzaną drzewami ulicą, zmierzając do sklepu. Powietrze było chłodne i suche, mimo iż słońce mocno świeciło. Po jednej stronie miałam olbrzymie, zbudowane z wapienia i marmuru domy, z których słyęła okolica. Większość została przerobiona na apartamentowce z mieszkaniami do wynajęcia albo prywatne szkoły. Szłam, marząc na jawie. Kiedyś Naama mnie opuści. Znudzi się albo zmęczy ją walka i zostawi mnie w spokoju. W końcu będę mogła powiedzieć Edowi prawdę, a on mi wybaczy.

Z otwartych drzwi po prawej na ulicę wysypała się gromadka dziewcząt w

wieku dziewięciu, dziesięciu lat, podobnych do siebie jak dwie krople wody. Wszystkie zdawały się mieć taką samą kremową cerę i związane w koński ogon gęste włosy. Kilka zdążyło założyć nauszники, szale i rękawiczki, lecz reszta paradowała w rozpiętych płaszczkach. Zatrzymałam się, by je przepuścić. Nie śpieszyło mi się, zapaliłam więc papierosa i przez chwilę przyglądałam się mijającym mnie dziewczętom. Za grupką postępowały dwie kobiety - jak się domyśliłam, nauczycielki. Patrzyły wprost na mnie. One jedynie wykonują swoją pracę, pomyślałam, pilnują, by podopiecznym nie stała się krzywda. Jedna z dziewczynek ruszyła biegiem w moim kierunku, prawdopodobnie śpiesząc się, by zdążyć na autobus lub dodatkową lekcję tańca. Odwróciła głowę, wołając do przyjaciółki: - Nie zapomnij zadzwonić do mnie wieczorem! - I wpadła wprost na mnie. Chwyciłam ją za łokcie, próbując uchronić przed upadkiem.

- Przepraszam! - Zawołała zaskoczona. Była brunetką o zmartwionym wyrazie małej twarzyczki. Ewidentnie spodziewała się reprimendy. Puściłam ją i się uśmiechnęłam.

- Nie ma za co - powiedziałam. - Nic się nie stało.

Uśmiechnęła się z ulgą i pobiegła w swoją stronę. Po lewej zobaczyłam cień stojącej za mną Naamy.

Tłumek dziewcząt wkrótce się rozproszył i mogłam ruszyć dalej. Nie uszłam jednak daleko, a znowu zostałam potrącona, tym razem przez kobietę nieco ode mnie starszą, która pędziła ulicą z takim pośpiechem, że nie byłam w stanie zejść jej z drogi dostatecznie szybko. Potknęła się, gdy na mnie wpadła, chwyciłam ją więc za ramię. Jasne włosy powiewały zawadiacko wokół jej twarzy i ponad czołem, ostrzyżone tak, by ukryć zmarszczki.

- Przepraszam bardzo - powiedziała z sarkazmem w głosie wskazującym, iż wcale nie jest jej przykro. Próbowała uwolnić ramię. Chciałam je puścić, nie byłam aż tak zła, lecz moja ręka nie słuchała.

- Nie powinnaś rozmawiać z nieznajomymi - powiedziałam. - Powinnaś spojrzeć w prawo, a potem w lewo, nim przejdiesz przez ulicę.

Moje spojrzenie straciło ostrość. Teraz widziałam już tylko czarną mgłę, poznaczoną smugami czerwieni. Mimo to nie przestałam mówić.

W końcu umilkłam, a mgła się rozpięzchła. Kobieta leżała na chodniku, szlochając. Złamałam jej nadgarstek na dwoje.

\*  
\*       \*  
\*

Próbowałam powiedzieć Edowi. Próbowałam powiedzieć komukolwiek, kto zechciałby mnie wysłuchać. Szybko przekonałam się jednak, że już na to za późno. Otwierałam usta i dobywały się z nich nie te słowa. Pomóż mi, Edwardzie, zmieniało się w: Podaj mi sól, Edwardzie. Jestem opętana w: Jestem zmęczona.

Próbowałam ją zaskoczyć, wykrzyknąć prawdę w chwili, kiedy nie będzie się tego spodziewała. Nie da się jednak zaskoczyć kogoś, kto żyje w tobie. Krzyki zmieniały się w długie suche pokasływanie. Pomóżcie mi, krzyczałam w środku, ocalcie mnie - lecz wszystkim, co dało się słyszeć, było długie: Ehem.

Co dzień budziłam się z mocnym postanowieniem, że skończę z tym nonsensem. Zostawię za sobą szaleństwo i znów będę normalna.

Lecz ona odpowiadała: Ale ja cię kocham, Amando. Kocham cię i nigdy nie opuszczę.

Odejdź! Krzyczałam bezgłośnie. Wynoś się!

O nie, odpowiadała, nigdzie się nie wybieram. A potem wszczyniała kłótnię z Edem. Mówił „dzień dobry”, próbowałam odpowiedzieć, lecz z mego gardła nie dobywał się żaden dźwięk. Walczyłam, wiałam się i próbowałam ze wszystkich sił, ale nic z tego nie wychodziło. Moje gardło i struny głosowe należały teraz do niej. Milczałam zatem. „Cóż, widzę, że komuś tu dopisuje humor” - stwierdzał Ed kąśliwie, unosząc brwi. I tak nie była to najgorsza możliwość, gdyż na „dzień dobry” Eda potrafiła zareagować, mówiąc: „A cóż jest w nim do cholery dobrego?”, „Dlaczego nie ma już kawy?”, albo - i to było najgorsze - odpowiadała „dzień dobry” głosem tak ociekającym sarkazmem, że Ed odstawiał z hukiem filiżankę i wychodził do pracy nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Co noc, gdy zasypiałam, zabierała mnie na karmazynową plażę nad czerwonym morzem.

- Dlaczego? - Pytałam. - Dlaczego ja?

- A dlaczego nie ty? - Odpowiadała. - Kto mógłby być lepsz?

Nie potrafiłam znaleźć na to odpowiedzi.

- Nie wiem, czego chcesz - mówiłam. - Powiedz mi. Dam ci wszystko, cokolwiek zechcesz.

- Ty jesteś wszystkim, czego pragnę - odpowiadała. - Bez ciebie nie ma zabawy.

- Czego ty chcesz? - Dopytywałam się błagalnie. - Jakiej zabawy?

- Właśnie takiej.

\*  
\*       \*  
\*

Znajdowałyśmy się znów na stałym lądzie, w dużym pokoju oświetlonym tysiącem połyskujących światełek. Żyrandol. Przyjęcie. Smokingi. Odgłosy zabawy dobiegały do mnie pod postacią stałego oddalonego szumu.

Stałam przy barze, przesuając palcem wzdłuż dekoltu sukni. Wyglądałam jak ja, lecz tak naprawdę była to ona. Ubrana elegancko w czarną sukienkę, przejrzyste rajstopy i błyszczące buty na obcasie. Czulaam, że moją twarz pokrywa gruba warstwa makijażu, a włosy na głowie, ściągnięte w ciasny kok, nieprzyjemnie ciągnę skórę.

Nagle ktoś poklepał mnie po ramieniu. Odwróciłam się; za mną stał mężczyzna. Młody blondyn o szerokim uśmiechu. W smokingu wyglądał niemal jak chłopiec udający dorosłego.

- Czy nie mieliśmy spotkać się na parkiecie? - Zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mam ochoty tańczyć. Może poszlibyśmy się przejść?

- Dokąd?

- Zrobimy rundkę dookoła.

Wzięłam go za rękę i poprowadziłam przez pokój ku ukrytemu za parkietem



korytarzykowi. Wkrótce zrobiło się ciemniej, na ścianach nie było już tapet, a na podłodze dywanu. Odgłosy przyjęcia ucichły. Zeszliśmy po kilku schodkach i znaleźliśmy się w wylanej cementem piwnicy, gdzie ukryto różne urządzenia: chłodnię, bojler, rury o tajemniczym przeznaczeniu. Pomieszczenie oświetlało kilka nagich żarówek.

- Co my tu robimy? - Zapytał w końcu. Uśmiechnął się znowu, lecz był to uśmiech nerwowy i nieco wymuszony. Bał się. Przysunęłam się i go pocałowałam. Natychmiast się odprężył. Kiedy się całowaliśmy, zaczęłam zdejmować z niego ubranie: najpierw marynarkę, później krawat i wreszcie koszulę.

Skórę na plecach miał taką ciepłą i gładką... Zagubiłam się w dotyku jego skóry i warg, a potem nie widziałam już nic tylko głęboką ciemną czerwień. Przesuwałam paznokciami po jego plecach, gryzłam mu wargi, język. Próbował mnie odepchnąć, lecz nie był w stanie, byłam zbyt silna. Po brodzie spływała mu krew z pogryzionych ust. Próbował krzyczeć, ale stłumiłam krzyk pocałunkiem. Zatapiałam paznokcie głęboko w jego plecach, dopóki doskonała skóra nie pękła. Próbował wyrwać się z moich objęć, zrobić coś, cokolwiek, lecz Naama była silniejsza. Właśnie przymierzała się, aby zacisnąć dłoń na jego szyi, kiedy ktoś nam przeszkodził.

- Hej! - Dobięło od strony schodów. - Kto tam jest? Wychodźcie, nikomu nie wolno...

Puściłam mężczyznę i czym prędzej uciekłam.

\*  
\*       \*

Byłyśmy znów na czerwonej plaży. Karmazynowe ryby wyskakiwały ponad powierzchnię oceanu. Wiatr zwiewał mi na twarz włosy.

- Dlaczego? - Zapytałam po raz kolejny.

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego? - Przedrzeźniała mnie. - Wiesz dobrze, dlaczego, Amando. Bo mi pozwoliłaś. Zaprosiłaś mnie.

- Kłamiesz!! - Wrzasnęłam. - Nie chciałam, by doszło do czegoś takiego!

- Spójrz! - Wskazała na horyzont. Na niebie niczym na ekranie rozgrywała się scena. Byłam na poddaszu z Edem w wieczór, gdy przypaliłam go papierosem. Siedzieliśmy na sofie, wyciągnęłam rękę, by zgasić papieros, i dokładnie tak jak zapamiętałam, moja ręka przesunęła się i przycisnęła niedopałek do nogi Eda. Ed krzyknął. Ja krzyknęłam. A potem obraz się zatrzymał. I właśnie w ułamku sekundy po tym, jak oboje krzyknęliśmy, przez moją twarz przemknął uśmiezek. Byłam

zadowolona, gdyż Ed zasłużył na to, co go spotkało, i nie tylko na to.

- To twoja robota! - Wrzasnęłam. - Ty sprawiłaś, że go sparzyłam i że mi się to spodobało! Wszystko przez ciebie.

Naama westchnęła, ewidentnie zniecierpliwiona.

- Do niczego cię nie zmuszałam - powiedziała - jedynie pozwoliłam robić to, na co miałaś ochotę. Powiedziałam ci już, Amando, nie mogę mieć frajdy, jeśli i ty jej nie masz.

Zacząłam zaniedbywać pracę. Przychodziłam późno, wychodziłam wcześniej i coraz częściej zdarzało mi się opuścić ważne spotkanie. Moje projekty były co prawda błyskotliwe i twórcze, ale technicznie do niczego. Demon nie miał głowy do szczegółów - nie troszczył się o to, czy projekt jest możliwy do wykonania, jeśli tylko był ładny. Współpracownicy sarkali, ale ponieważ byłam w firmie lubiana, dawali mi kolejną szansę.

Wszyscy z wyjątkiem Jamesa Cronina. Poszedł do Leona Fieldsa i Johna Carmine'a, oskarżył mnie o kilka potknięć, których dotąd nie zauważyli, i skłonił, by odebrali mi zlecenie na dom Fitzgeraldów i przekazali kierownictwo projektu jemu.

Przez pierwszy tydzień nic się nie działo. Drugi też minął spokojnie. Nie byłam jednak specjalnie zaskoczona, kiedy w połowie trzeciego uświadomiłam sobie, że jest późny wieczór, a ja zapraszam Jamesa na drinka.

Byliśmy w biurze sami. James, Naama i ja. Siedział przy biurku, a ja stałam obok, nie bardzo pamiętając, jak udało mi się to zaaranżować. Większość światel była wygaszona. Paliła się tylko lampa kreślarska nad biurkiem Jamesa, zalewając nas zimnym światłem. Reszta pomieszczenia tonęła w mroku.

- Co powiesz na drinka? - Zapytała.

- He?

- Daj spokój, tylko jeden drink. Nie chce mi się wracać jeszcze do domu.

Poczułam, że kąciki moich ust unoszą się do góry. Uniosłam też jedną brew i przechyliłam kokieteryjnie głowę.

- Jasne. Czemu nie?

Wstał i sięgnął po płaszcz. Nagle moje pole widzenia zaczęło się zawężać, ciemniejąc po bokach. Nim doszliśmy do drzwi, wszystko było już czarne, a ja nie byłam, nie byłam już...

A potem wróciłam. Dookoła okropnie cuchnęło, gromadzony latami smród uryny i odpadków wręcz uniemożliwiał oddychanie. Ciemność. Po chwili, gdy oczy przywykły do mroku, zobaczyłam, że znajduję się na dworze, w jakiejś alei. Nie, nie w

alei, w tunelu. Obróciłam się. Tunel miał około pięćdziesięciu stóp długości i dziesięciu szerokości, a na jego końcu majaczyło słabe światło. Przez odór uryny przebijał inny zapach, znajomy: mieszanka trawy, ziemi i nawozu. Park. Byłam w miejskim parku, w tunelu pod wzgórzem.

Stałam nad ciałem Jamesa Cronina. Leżał na plecach. Szyję miał wygiętą tak, że głowa spoczywała równolegle do barków, a pod nią rozlewała się kałuża gęstniejącej krwi.

Przestąpiłam przez ciało i odeszłam jakieś dziesięć jardów na południe. Jeśli nie liczyć odgłosu moich kroków, w tunelu panowała cisza. Wzdłuż muru widać było pozostałości starej fontanny, straszną acz piękną mozaikę przedstawiającą Meduzę z wijącymi się wężami zamiast włosów. W lepszych czasach z jej ust wypływała woda, a oczy spoglądały z absolutnym zrozumieniem. Zawsze lubiłam tę fontannę.

Wróciłam do miejsca, gdzie leżał James, i przykucnęłam, by mu się przyjrzeć. Oczywiście nawet się nie poruszył. Miał rozpiętą marynarkę i guzik od spodni. Prawdopodobnie obiecano mu małą zabawę w miejscu niemal publicznym. Jego twarz miała taki sam wyraz jak zawsze; nawet po śmierci wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

Nie miałam tu już nic do roboty. Wstałam więc, wyszłam z tunelu, złapałam na ulicy taksówkę i wróciłam spokojnie do domu.

\*  
\*       \*  
\*

Rzecz jasna James nie pojawił się następnego dnia w pracy ani nie zadzwonił, by zawiadomić o chorobie. W porze lunchu wszyscy byli już mocno zaniepokojeni. To niepodobne do Jamesa, by tak zniknąć. James na pewno by zadzwonił. Kilka osób zostawiło wiadomości na jego automatycznej sekretarce. James, chcemy tylko wiedzieć, czy wszystko z tobą w porządku. James, martwimy się - zadzwoń, prosimy, do biura...

Niepokój rósł i koło czwartej po południu zaczęliśmy wypytywać się nawzajem. Czy James miał dziewczynę? Znasz może jakichś jego przyjaciół, krewnych? Cóż, to tylko jeden dzień, pocieszaliśmy się. Tylko dzień. Jeśli nie odezwie się do jutra, na pewno coś zrobimy. Nikt nie wiedział, co mianowicie, byliśmy jednak przekonani, że jeśli jutro nie będzie go w pracy, podejmiemy stosowne działania.

Następnego dnia odczekaliśmy do lunchu i Ginny McPhee zadzwoniła na policję. Alex Levoux powiedział jej, że przesadza.

- Nie obchodzi mnie to - odparła ostro. - To nie w porządku, siedzieć sobie spokojnie, kiedy James może być w szpitalu, leżeć chory w domu albo Bóg wie gdzie.

W pracowni pojawiło się dwóch mundurowych. Ginny wytłumaczyła im, co nas zaniepokoiło. Zaczęli zadawać pytania, jakich można się było spodziewać, wszystkie zupełnie bez sensu. Czy James był narkomanem? Alkoholikiem? Hazardzistą? Zalegał ze spłatą długu? Przysłuchiwałam się temu, siedząc przy swoim biurku.

Niepokój osiągnął punkt szczytowy, gdy następnego ranka Ginny zadzwoniła znów na policję i dowiedziała się, że James został oficjalnie uznany za zaginionego. Fields&Carmine powiadomili jego rodzinę w Ohio. Ginny wydzwaniła co dzień na policję. Żadnych poszlak, dowodów, tropów. A potem zdarzyło się coś, czego nigdy bym się u Fieldsa&Carmine'a nie spodziewała - przywykliśmy. Przestaliśmy mówić o zniknięciu Jamesa. A nawet myśleć o tym. W biurze ustalili się nowy porządek, w którym nie było już dla niego miejsca. Zniknął niczym niezawodny zszywacz, który od lat znajdujesz co rano na biurku, a potem pewnego dnia już go nie ma. Przez kilka dni wytrwale się za nim rozglądasz, a potem kupujesz nowy i żyjesz dalej, akceptując zniknięcie użytecznego narzędzia jako jedną z drobnych tajemnic codzienności. Tak właśnie postąpiliśmy z Jamesem.

Wszyscy oprócz Ginny McPhee. Popłakiwała przy biurku i bez przerwy o nim mówiła. Dzwoniła co dzień na policję, aż wreszcie po dwóch tygodniach doczekała się odpowiedzi: James został napadnięty i zamordowany w parku po tym, jak wyszedł we wtorek z pracy. Jego ciało znaleziono już następnego ranka, zaszło jednak nieporozumienie z identyfikacją. Było mało prawdopodobne, by po tak długim czasie udało się schwytać napastnika. Policja dała jasno do zrozumienia, że szkoda marnować na to czas i pieniądze. Fields&Carmine zamknęli na resztę tygodnia biuro, w niedzielę wszyscy płakaliśmy na pogrzebie, by w poniedziałek podjąć pracę w nowej sytuacji - bez zmarłego tragicznie kolegi. I to był koniec Jamesa Cronina.

\*  
\*       \*  
\*

Wkrótce potem przestałam pojawiać się w pracy. Nie mam pojęcia, czy złożyłam wymówienie czy przestałam po prostu przychodzić, wiem tylko, że więcej się tam nie pojawiłam. Ed nie miał o niczym pojęcia. W lepszych czasach dzwonił do biura nawet dwa razy dziennie, ale minęły miesiące, odkąd któreś z nas na tyle się stęskniło, by zadzwonić i zamienić choć kilka słów. Do czasu kiedy miał szansę dowiedzieć się, że straciłam posadę, było to już najmniejsze z naszych zmartwień.

\*  
\*       \*

Znów znajdowałam się w obskurnym ciemnym barze za rogiem, w pobliżu dawnego biura. Siedziałam z tym samym mężczyzną - przystojnym, wytatuowanym, podchmielonym.

- Eric - powiedziałam. Nie miałam pojęcia, jak się tam dostałam ani skąd wiem, jak ma na imię mężczyzna, lecz nie zmieniało to faktu, że tam byłam i mówiłam do tego neandertalczyka po imieniu.

- Naama - powiedział. - Brzmi dziwnie. Z jakiego to języka? Arabskiego?

- Satanistycznego - odparłam.

- He?

- Akaszyckiego.

- To coś jak perski?

- O, tak.

- Hm... To co, zbieramy się?

- Zbieramy?

- Mówiłaś, że chcesz się przejechać.

- Racja - powiedziałam. - Już idę. Zbieramy się.

Nadeszło Boże Narodzenie, a potem Nowy Rok. W ogóle ich nie zapamiętałam. Dni były teraz krótkie i zimne, a noce o wiele za długie. Ed przestał pytać, skąd wracam. Nie czekał już na mnie z kolacją, nie reagował, gdy Naama próbowała wszcząć sprzeczkę. Miał dość. Próbował wszystkiego: uprzejmości, wyrozumiałości, sugestii, namawiania na terapię; wrzeszczał na mnie, błagał, ignorował, by w końcu zacząć żyć własnym życiem.

Sytuacja uległa odwróceniu i teraz to on wszczywał kłótnie. To on spóźniał się na kolację, a potem do łóżka, wracając późno w nocy.

Domyślałam się, o co chodzi, a upewnił mnie w tym telefon. Uznał, że jak zwykle nie ma mnie w domu. Przestaliśmy informować się o naszych planach, a wieczorami zwykle wychodziłam. Tej nocy zostałam jednak w sypialni. Demon robił coś z ziołami, które trzymał ukryte w szufladzie z bielizną. Wiązki korzeni i gałązek zaczęły pojawiać się przed kilkoma tygodniami. Nie byłam pewna, co dokładnie z nimi robi, lecz cały czas, jaki spędzał w domu, poświęcał na zajmowanie się nimi, spalając niewielkie stosiki w popielniczce lub zmieniając układ gałązek w pęczkach. Na szczęście interesowało go, co mówi Ed, podprowadził mnie zatem pod ścianę i skłonił, bym przyłożyła do niej ucho. Ed rozmawiał z kimś przez telefon.

- Nie. Nie wiem. Nie sądzę, żeby chodziła nadal do lekarza.

Pauza, by kobieta po drugiej stronie mogła odpowiedzieć.

- Nie wiem jeszcze, co zrobię. Nie, nie dziś, jestem już w domu. Jutro... Taa, wiem. To będzie musiało się zmienić... Oczywiście, że próbowałem z nią rozmawiać, próbowałem z milion razy. Posłuchaj, dajmy temu spokój, dobrze? Nie, naprawdę nie życzę sobie o tym rozmawiać. Jutro. Jutro... W porządku, dobranoc... Ja także cię kocham.

Odłożył słuchawkę, a demon zajął się na powrót ziołami.

\*  
\*       \*  
\*

Wkrótce Ed spędzał już poza domem całe weekendy, tłumacząc mętnie, że musi

wyjechać służbowo. Żadne z nas nie udawało nawet, że w to wierzy. Kiedy był w domu, sypiał na kanapie. Wymienialiśmy niezbędne uwagi, nie szczędząc chłodnych, nadmiernie uprzejmych „proszę” i „dziękuję”. Jeśli zdarzyło nam się przypadkiem o siebie otrzeć, sztywnieliśmy, odsuwając się pośpiesznie.

Ostatniego dnia, jaki spędził w domu, przyłapał mnie w łóżku z innym. Mężczyzna przyszedł odczytać licznik gazu i nie potrafię powiedzieć, co wydarzyło się potem. Kiedy Ed wrócił, mężczyzna wstał, ubrał się i wystrzelił z pokoju jak z procy, tak że nie zauważyłam nawet, jak wychodzi.

Edward z miejsca postanowił mnie opuścić.

Leżałam naga na łóżku, płacząc bezgłośnie, on zaś wyciągnął brązową skórzaną walizkę, której nie widziałam nigdy przedtem, i zaczął się pakować. Nawet teraz nie mogę przestać myśleć o tej walizce. Czy wyczekiwał na taką okazję? Czy kupił ją dla kochanka?

Pakując się, nie przestawał mówić. Był tak zdenerwowany, że tyle samo ubrań ładowało w walizce, co dookoła niej. Poprzez filtr demona docierały do mnie jedynie urywki słów i zdań.

- Wiedziałem... Wiedziałem, do cholery... Bzdura... Odpowiedzialność... Nie chce wziąć odpowiedzialności... Nie chce rozmawiać...

Rzucił butem przez pokój. Poczulałam, że moje wargi wyginają się w uśmiechu. Zaczęłam tarzać się po łóżku miotana wybuchami histerycznego śmiechu. Demon był w ekstazie. Chciała, aby Ed odszedł. Ostatnim, co zapamiętałam z tamtego dnia, było to, że Edward klęczał przy łóżku, próbując zmusić mnie, bym skupiła uwagę na tym, co mówi.

- Słuchasz, Amando? Amando, tego już za wiele. Odchodzę. Słyszysz mnie, Amando? Ja odchodzę!!

\*  
\*       \*

Odszedł, a wraz z nim poczucie czasu. Budziłam się po kolejnym zaćmieniu sądząc, że minęła zaledwie godzina, aby przekonać się, że straciłam całe dni. Okazjonalne przebłyski świadomości zlewały się ze sobą, pozostawiając mnie w kompletnym pomieszaniu.

Leżałam w łóżku z olbrzymim, okrągłym i najbardziej miękkim materacem, na jakim zdarzyło mi się spoczywać. Ściany pomalowane były na niebiesko, z białym rokokowym fryzem na górze. Przypominało to dom Fitzgeraldów. Pokój był olbrzymi,



niemal tak duży jak poddasze. Zapewne był to największy pokój, jaki widziałam. Byłam naga i sama. A potem ciemność ogarnęła moje oczy, uszy i całą resztę. Odpłynęłam w nicość.

Już nie byłam w niebieskim pokoju, ale z powrotem na poddaszu. Siedziałam przed kominkiem, paląc jedno po drugim ubrania Eda. Nagle usłyszałam, że ktoś puka do drzwi. Nie, w a l i w drzwi. Odgłos dobiegał z wnętrza łazienki. Drzwi do niej blokował olbrzymi, ciężki stół z jadalni, uniemożliwiając wyjście zamkniętej tam osobie.

- Proszę - dobiegł mnie błagalny kobiecy szloch. - Zrobię wszystko, proszę tylko mnie wypuścić. Potrzebuję lekarza. Jestem ranna.

- O, nie - odparła Naama. - Chyba jeszcze z tobą nie skończyłam.

Róż. Mnóstwo różu. Powoli dotarło do mnie, że znajduję się w damskiej sypialni. Nie, w sklepie z bielizną. Wszystko tu było różowe i złote. Rodzaj sklepu, jaki znaleźć można w co bardziej luksusowym pasażu lub centrum handlowym w kraju. Mogłam być gdziekolwiek. Dyskretne nutki klasycznej muzyki sączyły się pomiędzy stojaków z usztywnionymi stanikami i wymyślnymi szlafroczkami. Szłam wzdłuż przejścia, wyciągając co kilka kroków jakiś stanik. Oстрым wyszczerbionym paznokciem palca wskazującego rozdzierałam najbardziej delikatną część każdej sztuki bielizny. Rrrrip i już po białej koronce, czerwonej satynie, przejrzystym czarnym nylonie. Rrrrip; żółty ciuszek rozdarł się, wydając szczególnie satysfakcjonujący dźwięk. Przy końcu przejścia zawróciłam i zrobiłam to samo ze stanikami po drugiej stronie, wybierając co czwarty lub piąty, by usłyszeć miłe dla ucha rrrrip.

Kilka dni później. Wszystko spowija szarość i kwaśny zaduch. Jadę pociągiem. Wagon jest w połowie wypełniony. Kilku mężczyzn w przygnębiających powypychanych garniturach, kobiety otoczone wianuszkami dzieci. Spojrzałam w dół: miałam na sobie bardzo ładną, zapinaną z przodu czarną sukienkę, której nie widziałam nigdy przedtem, i równie tajemniczą parę białych skórzanych pantofli. Oczy. Czulałam na sobie ukradkowe spojrzenie mierzających mnie z góry na dół oczu. Podniosłam wzrok. Po przeciwnej stronie wagonu siedziała niechlujna kobieta o szczurzej twarzy, co najwyżej dwudziestoletnia, gapiąc się na mnie z odrażającym chytrym uśmiechem. Tłuste ciemne włosy opadały jej na ramiona. Miała na sobie brudną kurtkę z denimu i czarny top z wydrukowaną nazwą jakiejś grupy heavymetalowej. Jej wodniste oczy błyszczały. Szczurza twarz obróciła się, by

sprawdzić, czy nikt nie patrzy, po czym poświęciła mi całą uwagę. Kobieta wysunęła język, szeroki i płaski, sięgający aż do brody. Góra jej ciała wygięła się do tyłu, a język zwinął i powędrował w górę, dotykając czubka nosa. Wyglądała jak zaklinaczka węży z grubym różowym gadem. Różowy gad wyciągał się, sięgając wyżej i wyżej, aż dotknął miejsca pomiędzy brwiami. Ku memu przerażeniu - i wielkiemu rozbawieniu Naamy - dziewczyna, z żyłkowanym błękitnie spodem języka zakrywającym połowę twarzy, odgięła głowę jeszcze bardziej. Jej twarz zwrócona była teraz ku sufitowi, a oczy wywróciły się, ukazując same białka.

Spod języka wypłynęła czarna chmurka pachnąca jak krew. Patrzyłam przerażona, jak sunie wprost ku mnie. Kiedy znalazła się dostatecznie blisko, Naama otworzyła usta, pochyliła się i zjadła ją wprost z powietrza, niczym żaba połykająca muchę.

Ocknęłam się na rogu ulicy w pobliżu domu, wymiotując do pojemnika na śmieci.

- Proszę pani? Bardzo panią przepraszam...

Podniosłam wzrok i zobaczyłam umundurowanego policjanta, mocno zbudowanego mężczyznę z wąsem, próbującego zajrzeć mi za bluzkę. Zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Przyjęłam propozycję z wdzięcznością. Tylne drzwi radiowozu nie miały klamek, a siedzenia oddzielała od przednich gruba przegroda z plastiku - a raczej oddzielałaby, gdyby policjant ją zamknął.

Zawsze ufają ładnej buzi.

A potem mężczyzna powiedział:

- Żona też to złapała. Grypa żołądkowa. W zeszłym tygodniu chorowały dzieciaki, a teraz dopadło jeszcze matkę. Ten wirus to pieprzony zabójca i cała moja rodzina go złapała.

Zamilkł i spojrzął w lusterko. Spozrzegłszy, jak na niego patrzę, odchrząknął i poprawił kapelusz.

- Proszę mi wybaczyć - wykrztusił. - Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć, że grypa to coś okropnego.

\*  
\*       \*  
\*

Znajdowałyśmy się znów na czerwonej plaży nad karmazynowym morzem. Teraz wiedziałam już, że to krew i że zabarwiła piasek na czerwono. Naama to nurkowała, to wyskakiwała ponad powierzchnię oceanu, smukła i szczęśliwa jak

delfin.

Odwróciłam się i spróbowałam uciec. Było jednak tak, jakbym to ja znajdowała się pod wodą. Nie mogłam nabrać rozpędu, aby poruszyć nogami i ramionami. A potem ona była znów przy mnie, pokazując w uśmiechu małe spiczaste ząbki i przyglądając się, jak próbuję biec.

- Przestań, Amando - powiedziała. - Kocham cię i za nic nie pozwolę ci odejść.

A potem, pewnego dnia podczas ciągnącej się w nieskończoność śnieżycy, Ed zawitał znów na poddasze. Naama sprowadziła mnie do domu po dniach tego, co uważała za rozrywkę, i oto był, siedział na sofie w pogniecionym garniturze z poluzowanym krawatem, otoczony kałużą topniejącego wokół stóp śniegu. Po raz pierwszy od tygodni udało mi się przemówić własnym głosem.

- Ed - zawołałam, pędząc ku niemu, ku jego smutnej postarzałej twarzy. Usiadłam tuż obok i objęłam go ramionami. Pozostał sztywny i spięty, patrząc wprost przed siebie, ale nie dbałam o to. Straciłam już nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Przez chwilę pozwalał, bym go obejmowała, a później odsunął się, wstał i zaczął przemierzać wolną przestrzeń przed sofą, spoglądając na okna, drzwi, wszędzie, tylko nie na mnie.

- Próbowałem dzwonić - powiedział. - Pisałem. Nie odpowiedziałaś. Myślałem, że się przeprowadziłaś. Ja... Ja...

Zaczął płakać. Z początku starał się powstrzymać, powtórzył zdławionym głosem kilka razy „ja”, a potem pogodził się z tym, że płacze, twarz wykrzywiła mu się w grymasie cierpienia, a po policzkach pocięły łzy. Nie przestał jednak chodzić. Serce podskoczyło mi w piersi. Może jest jednak sposób, pomyślałam, mogłabym wytłumaczyć i...

- Och, Ed, ja... - Chciałam powiedzieć, że go kocham. Kocham cię, tęsknię za tobą i nie wiem, dlaczego to się przydarzyło. Nam, ze wszystkich ludzi na świecie. Pamiętasz kwiaty, jakie dałeś mi na trzeciej randce? Pamiętasz, jak śmiałyśmy się z mew, kiedy byliśmy w zeszłym roku na plaży? I ten okropny film, ten z napisami, z którego żartowaliśmy potem tygodniami. Długie sobotnie popołudnia w parku. Niedziele na pchlim targu. Przyjęcie bożonarodzeniowe, kiedy zbyt dużo wypiliśmy, wybuchła okropna kłótnia i niemal się pozabijaliśmy, a następnego dnia wszystko wydało nam się tak zabawne? Cukierek, który kupiłeś mi, gdy nie wróciłeś na czas do domu. To nie w porządku. Ani trochę... Lecz Naama zacisnęła mi gardło i siedziałam z pokerową miną patrząc, jak zbiera się w sobie.

- Występuję o rozwód - powiedział. - Chcę się znowu ożenić.

Wieczory, kiedy na ciebie czekałam, a ty nie zadzwoniłeś...

- Jestem pewien, że to dla ciebie żadna niespodzianka. W końcu minął już z górą rok. Ona... Cóż, wiem, że o niej wiesz. Jeśli chodzi o nas, nie ma sensu teraz w to wnikać. Nie wiem, dlaczego nie mogliśmy o tym porozmawiać, rozstać się wcześniej i pójść każde swoją drogą...

Basen na dachu w Kalifornii, skąd oglądaliśmy zachód słońca. Niezliczone posiłki na wynos. Dotyk twojej skóry, cieplej i suchej. Przyjęcia urodzinowe twojej matki. Pogrzeb ojca. Planowaliśmy wybrać się kiedyś na Hawaje i do Paryża. Mieliliśmy kupić nową zmywarę, nowy samochód. Nic się nie zmieniło, chciałam powiedzieć, nie dla mnie, nadal tu jestem, spójrz na mnie, no spójrz... - Ale choć próbowałam, nie byłam w stanie otworzyć ust. Spadałam, pogrążając się w gęstej czerwonej mgle, czarnej studni bez dna. Chciałam zostać, nie było jednak nic, czego mogłabym się uchwycić, przytrzymać, spadałam więc i spadałam, aż całkiem znikłam.

Leżałam na karmazynowej plaży nad morzem krwi. Naama leżała obok mnie. Uśmiechnęła się i napisała na piasku palcem wskazującym lewej ręki: WYGRAŁAM.

*Najpierw była Lilith. Była pierwszą Żoną Adama, ale nie okazała się dość dobra, nie chciała leżeć spokojnie i znosić tego, co z nią robi, ani robić tego, o co ją proszono lub co jej kazano. Stworzono więc mnie, bym była posłuszna. Wszystko miało być tak, jak trzeba. Tym razem miało obyć się bez błędów, zatem na nowej, nieokielznanej jeszcze ziemi on przyglądał się, jak powstaję z garści czystego pyłu. Najpierw kości. Zaczął od stóp, a potem w górę, przez nogi, biodra, kręgosłup, żebra, na boki, by stworzyć ramiona. Na koniec zwińczył całość okrągłą białą czaszką. Potem przyszedł czas na to, czego potrzebowałam, by żyć - wątrobę, śledzionę, jelita, pęcherz, serce i płuca, mózg, oczy i język, wszystko stworzone z pyłu na oczach mego małżonka. Wkrótce kościec pokryły mięśnie, w nich rozwinęły się powięzi, ścięgna i żyły. Zostałam wypełniona krwią, żółcią, śluzem, łzami. Jeszcze później spowito mnie skórą, pokrytą tu i tam włosami, nowe powieki na moich oczach uniosły się, a źrenice opadły aż, kompletna i prawdziwa, spojrzałam na mego małżonka, on zaś był na świecie tylko ze mną.*

*Pierwszym, co zobaczyłam, była jego wykrzywiona w grymasie odrazy twarz. Odwrócił się czym prędzej zde gustowany, błagając, by nie musiał więcej mnie oglądać. Nie wiedział przedtem, co jest w środku. Wyobrażał sobie, że człowiek jest tam równie gładki i uładzony, jak na zewnątrz. Nie potrafił znieść bałaganu, chaosu, krwi.*

*Nie byłam potrzebna. Ani pożądana. Lecz Lilith nauczyła mnie paru sztuczek nad brzegiem Morza Czerwonego. Gdy Adam, przerażony tym, że Kain zabił Abła, odmówił dzielenia łóża z Ewą, przyszedłam do niego, gdy spał. Sądził, że śni, ale został ojcem mego pierwszego dziecka.*

*Nie potrafią powiedzieć „nie”. Potrzebuję jedynie sposobu, by dostać się do środka. Nietrudno to uczynić we śnie, lecz wtedy nie wiedzą, nie mają pojęcia, że ich posiadłam. Potrzebuję kogoś takiego jak Amanda. Twierdzi, że nie wiedziała. I że mnie nie chciała. Lecz nie mogłabym w nią wniknąć, gdyby mnie nie chciała. Wszyscy mnie pragnęli. Absolutnie wszyscy.*

*Wszyscy poza Edem.*

Siedziałam na sofie w naszym mieszkaniu. Za oknem widać było jedynie białą ścianę padającego nieustannie śniegu. Ludzie byli wszędzie, poruszali się, kręcili, przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia, a potem wracając. Dwoje fotografowało, kilkoro przeszukiwało poddasze, zaglądając pod stół i szperając na półkach z książkami. Dziwny rodzaj imprezy. Jeden z mężczyzn zrobił mi zdjęcie; wzdrygnęłam się oślepiona błyskiem lampy. Gdy byłam w stanie skupić znów wzrok, spojrzałam w kierunku otwartych drzwi do sypialni. Gdzie Ed?

Z wolna wracała mi zdolność słyszenia. Z początku docierał do mnie tylko szum, gwar przyjęcia, a potem stopniowo jeden głos wybił się ponad inne. Jakiś mężczyzna mówił coś do mnie, niemal krzyczał z ustami tuż przy moim uchu. Odwróciłam głowę. Siedział obok na sofie, starszawy jegomość o zaczesanych do tyłu włosach, ubrany w tani garnitur.

- Dlaczego pani to zrobiła?! - Dopytywał się głośno. - Miała pani romans?! Czy on uprawiał hazard?! Pił?!

Chciałam go uciszyć, powiedzieć, że nie musi krzyzczeć, ale słowa wychodziły przekręcone i niewyraźne; moje usta znów nie należały do mnie. Spojrzałam w dół i spostrzegłam na ubraniu plamę, wielką, wilgotną czerwoną plamę na brzuchu. Próbowałam powiedzieć mężczyźnie, że krwawię, lecz oczywiście nic z tego nie wyszło. Przyglądał się uważnie, jak rozpinam żakiet i bluzkę. Wszyscy gapili się na mnie, uznałam jednak, że skoro wykrwawiam się na śmierć, powinnam przynajmniej obejrzeć ranę. Ale kiedy rozpięłam bluzkę i popatrzyłam na nagie ciało, nie zobaczyłam czerwieni. To nie ja krwawiłam.

- Ed - wrzasnęłam, zeskakując z sofy. - Edwardzie!

Obecni w pokoju ludzie zamarli, a potem spojrzeli jak jeden mąż na mnie.

- Gdzie on jest? - Wrzeszczałam.

Nikt nie odpowiedział. Stali dookoła, przyglądając się, jak wbiegam do pustej, jak się okazało, łazienki, kuchni, także pustej, i wreszcie do sypialni.

Krew była wszędzie. Rozbryźnięta na ścianach, rozsmarowana na podłodze.



Łóżko wręcz nią przesiąkło. Była na białej bawełnianej pościeli, którą wybieraliśmy razem w zeszłym roku. Na poduszkach z gęsiego puchu, które matka Eda podarowała nam dwa lata temu na Gwiazdkę. Na czarno-białym pledzie, wyszukany pewnej pięknej słonecznej soboty przed trzema laty na pchlim targu. Jej zapach przyprawiał o mdłości. Zamknęłam oczy, życząc sobie z całego serca, by zniknęła, lecz gdy je otwarłam, nic się nie zmieniło. Mężczyzna o przylizanych, zaczesanych do tyłu włosach stał znów obok mnie.

- Dlaczego pani to zrobiła? Czemu pani go zabiła?

Jęknęłam i zwymiotowałam na podłogę. A kiedy uniosłam znów głowę, spostrzegłam brązowiejący na białej ścianie nad łóżkiem, wykonany palcem napis:

WYGRAŁAM.

\*  
\*       \*

Ktoś z mieszkańców wezwał zapewne policję. Krzyki Eda musiały być nie do zniesienia głośne, zważywszy, iż najbliższy sąsiad mieszkał dwa piętra pod nami. Przy pomocy obrońcy z urzędu, który ewidentnie bał się swojej klientki, wniosłam o uznanie mnie za niepoczytalną i zgodziłam się pozostać przez czas nieokreślony w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym.

Najpierw dźgnęłam jedną z dziewcząt wykonany własnoręcznie nożem. Nie mam pojęcia, dlaczego. Potem, zamknięta w izolatce, zapuściłam paznokcie i zaatakowałam strażniczkę. Na szczęście nie była ładna nawet przed tym, jak z nią skończyłam. Przeniesiono mnie na oddział dla osób niebezpiecznych.

Wreszcie nastały dla niej królewskie czasy. Dziewczęta słuchają jej rozkazów, sypia z jednym ze strażników i chyba także z lekarzem. Czuje się tu jak lis w kurniku.

Kiedy z rzadka odzyskuję świadomość i jestem choć przez chwilę sobą, leżę w łóżku, rozmyślając o Edzie.

Próbuję wspominać dobre czasy, to, jaki był przystojny z jasnymi włosami opadającymi mu na oczy, gdy się uśmiechał. I nasz dom, nasze wspaniałe, przestronne, piękne poddasze. Czepiam się kurczowo najmniejszego wspomnienia: dłoni o doskonale utrzymanych kwadratowych paznokciach, z cienką złotą obrączką wokół serdecznego palca, miękkiego zagłębienia nad obojczykiem, tego, jak lubił porządek i jak szczęśliwy się czuł, kiedy mieszkanie było czyste i wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Lecz choćbym nie wiem jak się starała, na ogół pamiętam jedynie sypialnię całą we krwi.

*Oczywiście z początku ze mną walczyła. Wszyscy walczą. A potem dostrzegają możliwości i są szczęśliwi, ulegając. Mogłaby ciągnąć to swoje małe samotne życie w nieskończoność. Ale czasami drzwi się otwierają, ukazując szersze perspektywy, i nie tak łatwo powiedzieć: nie. Czasami nie pozostaje ci nic innego, jak powiedzieć: tak i przekonać się, dokąd cię to zaprowadzi.*

\*  
\*       \*  
\*

Teraz należę już do niej całkowicie, spoglądam na świat jej oczami, choć były kiedyś moje. Pewnego razu, jakiś czas temu, pochwyciłam przypadkiem swe odbicie w lustrze. Wyglądam inaczej, jestem starsza, ale z pewnością piękniejsza. Włosy mam dłuższe i bardziej gęste, a cerę gładką i kremową. Nocami zabiera mnie na karmazynową plażę nad czerwonym morzem, gdzie leżymy objęte na piasku. Mówi, że jestem piękna, że kocha mnie jak zawsze i nadal chce, byśmy zostały przyjaciółkami.

- Nigdy cię nie opuszczę - zapewnia, dźgając mnie językiem. - Kocham cię - powtarza - i nie zostawię. Cóż, w końcu zawsze pragnęłam tylko tego: mieć kogoś, kto by mnie kochał i nigdy nie opuścił.

Wydawnictwo „Książnica” Sp. z o.o.

40-160 Katowice

tel. (032) 203-99-05,254-44-19

faks (032) 203-99-06

Sklep internetowy:

<http://www.ksiaznica.com.pl>

e-mail: [ksiazki@ksiaznica.com.pl](mailto:ksiazki@ksiaznica.com.pl)

Wydanie pierwsze

Katowice 2007

Skład i łamanie:

mplusm-pracownia

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A. Kraków

Al. W. Korfanteo 51/8